

NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy



Z NASZEGO REGIONU

Długa Droga w Górach Bystrzyckich	<i>Bartosz Skowroński</i>	3
Schaffgotschowie i kaplica św. Wawrzyńca na szczycie Śnieżki	<i>Grzegorz Wojciechowski</i>	6
Góry Kaczawskie: skały, łąki i słońce	<i>Krzysztof Gdula</i>	10
Sekrety Zamku w Sobótce Górze	<i>Andrzej R. Kociński</i>	13
Pułapki toponomastyki	<i>Witold Komorowski</i>	14
Sudeckie drzeworyty Stefanii Dretler-Flin	<i>Ryszard M. Remiszewski</i>	16
Sezon na Karkonoszkę?	<i>Zbigniew N. Piepiora</i>	18

OJCZYSTE SZLAKI

To nie Toledo ani San Francisco i ścieżka „w korzeniach drzew”	<i>Juliusz Wysłouch</i>	19
(Nie)zapomniani świadkowie osadnictwa olenderskiego	<i>Szymon Bijak</i>	20
Nowe pasma górskie w Karpatach w świetle nowej regionalizacji fizyczno-geograficznej Polski	<i>Sebastian Jakobschy</i>	22
Zostało nie tylko wspomnienie	<i>Tomasz Kowalik</i>	23

WYGODNIE I BEZPIECZNIE

Tragiczny biwak na Zawracie	<i>Juliusz Wysłouch</i>	25
---------------------------------------	-----------------------------------	----

TRASA MIESIĄCA

Wypad w Sokole Góry	<i>Krzysztof Tęcza</i>	28
-------------------------------	----------------------------------	----

GLOBTROTER

Zamek Murąń	<i>Mirosław J. Barański</i>	31
Źródło Aretuzy w Syrakuzach	<i>Grzegorz Wojciechowski</i>	34

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

Wizyta w obiektach zaliczanych do „Sudeckiego Gwarka Walońskiego”	<i>Krzysztof Tęcza</i>	35
Friedrich Iwan – malarz, grafik, pejzażysta	<i>Krzysztof Tęcza</i>	38
4 stopień zagrożenia lawinowego	<i>Zbigniew N. Piepiora</i>	40

SYLWETKI „NA SZLAKU”

Józef Kopec	<i>Janusz Fuksa</i>	41
Strażnik wielkopolskich skarbów	<i>Tomasz Kowalik</i>	42

RECENZJE I NOWOŚCI

Pieniny, Pieniny przecudna kraina	<i>Tomasz Kowalik</i>	44
Skarby duchowe Dursztyna z rysem historycznym Spisza	<i>Ryszard M. Remiszewski</i>	46

Na okładce: Singletrack Spalona – początek zjazdu ze szczytu Jagodnej (977 m) na Przeł. Spalona w Górach Bystrzyckich. Fot. Piotr Dacko

Długa Droga w Górach Bystrzyckich

Oznajdującej się na Ziemi Kłodzkiej – w tytułowym paśmie górskim – drodze leśnej noszącej nazwę Wieczność służyło zapewne wiele osób interesujących się Górami Bystrzyckimi. Mniej znana jest chyba tytułowa Długa Droga – gruntowa leśna droga stykająca się ze wspomnianą Wiecznością na wysokości ok. 810 m n.p.m. W miejscu styku obu dróg wierzchowina tamtejszej części Gór Bystrzyckich jest tylko nieco pochyła, przy tym porośnięta dość gęstym lasem. Wieczność biegnie tutaj prosto. Równie prosto poprowadzony jest początkowy – od tej strony – odcinek Długiej Drogi. Patrząc na styk Wieczności z Długą Drogą od strony Zielonej Drogi, widzi się biegnącą na wprost Wieczność i odchodzą w prawo skos od niej drogę – ta ostatnia to Długa Droga. Tak ogólnie można scharakteryzować ten kraniec tytułowej drogi.

Gdzie znajduje się jej drugi kraniec? To już trudniejsze pytanie. Różnie bowiem jest on umiejscawiany. Za taki przyjmowany bywa bodaj jej styk z inną drogą leśną na wysokości ok. 735 m n.p.m. Wówczas miałyby ona tylko ok. 2,5 km długości. Niekiedy za Długą Drogą uważa się jednak także drogę biegnącą dalej na wprost od wspomnianego ostatnio – położonego na wysokości ok. 735 m n.p.m. – miejsca. Gdzie w takim wypadku kończyłaby się tytułowa droga? No cóż – i tu trudno udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Dlaczego? Za jej kraniec przyjąć należałoby bodaj jej styk z leśną drogą (będącą chyba fragmentem drogi noszącej kiedyś nazwę Mittel-Birkicht-Weg) na wysokości ok. 660 m n.p.m. w pobliżu miejsca określanego jako Złamany Buk. Wówczas miałyby ona ok. 5 km długości. Jej dolny odcinek (ten, który przecina Piaszczystą Drogę) bywa jednak określany jako... Droga na Bude na Saniach – tak, tak, „Bude” nie „Bude”. Jeśli uznać tę ostatnią jako odrębną drogę, wtedy Długa Droga byłaby oczywiście krótsza.

Zanim powstała polska nazwa Długa Droga i zaczęto ją umieszczać na polskich mapach – ba, zanim tereny te znalazły się w Polsce – bodaj cała droga biegnąca od współczesnego styku Wieczności z Długą Drogą aż po styk ze wspomnianą



Na styku Wieczności z Długą Drogą



Nieporośnięty w całości trawą odcinek Długiej Drogi

leśną drogą na wysokości ok. 660 m n.p.m. określana była jako Maxlinie (spotkałem się też z pisownią Max-Linie). Czy w czasach, gdy nosiła ona nazwę Maxlinie, drogą tą prowadził jakiś szlak turystyczny? Na przejrzanym przeze mnie kilku przedwojennych mapach obejmujących obszar współczesnych polskich Gór Bystrzyckich nie znalazłem takiego. Również na kilku mapach turystycznych z końca lat 60. oraz z lat 70., 80. i 90. XX w., które miałem okazję przejrzeć, żadnego szlaku turystycznego biegnącego tamtędy nie zauważyłem. Współcześnie też nie prowadzi nią żaden znakowany szlak turystyczny. Jedynie Wiecznością – także koło jej styku z tytułową drogą – przebiega czerwony szlak rowerowy. Ten sam szlak, tylko że na innym jego odcinku, wiodąc Piaszczystą Drogą, przecina wspomnianą Drogę na Bude na Saniach.



Porośnięty trawą odcinek Długiej Drogi

A jaki jest przebieg całej, niemal prosto wiodącej 5 km. długości drogi, dawnej Maxlinie, od styku z Wiecznością na wysokości ok. 810 m n.p.m. aż po wspomniany punkt na wysokości ok. 660 m n.p.m. w pobliżu miejsca określanego jako Złamany Buk?

Już od miejsca styku z Wiecznością Długa Droga biegnie prawie prosto. Nieliczne minimalne odchylenia w prawo lub w lewo trudno nazwać zakrętami. Prawie cały czas wiedzie też bardzo łagodnie w dół. Na początkowym, od strony Wieczności, jej odcinku jest ona miejscami nieco wysypana drobnymi skalnymi odłamkami. Po prawej i lewej jej stronie rośnie dość gęsty las. Jest trochę pniaków po ściętych drzewach. Tu i ówdzie w lesie leżą większe i mniejsze głazy. Na sporym odcinku tego fragmentu Długiej Drogi – mniej więcej na jej środku – ciągnie się wąski pas zieleni. Gdzieś tam w pobliżu drogi znajdują się zagłębienia terenu, w niektórych stoi woda. Są i miejsca, gdzie – przy odpowiedniej pogodzie rzecz jasna – zza drzew na horyzoncie widoczny jest inny górski grzbiet. Nie da się jednak powiedzieć, że to panorama górską. Widok przesłaniają bowiem drzewa. Być może jeszcze za czasów, gdy droga ta nazywała się Maxlinie, powstały niektóre przepusty wodne dla potoczków przepływających pod Długą Drogą. Przepustami toczą swe wody ciekły płynące w stronę doliny Bystrzycy. Chodzi – rzecz jasna – o tę Bystrzycę, która jest dopływem Nysy Kłodzkiej. Są też miejsca, gdzie wzdłuż Długiej Drogi płynie w zagłębieniu – jakby rowku – mały potoczek. Jego łóżysko wygląda miejscami na grząskie. Zresztą to nie jedyne grząskie miejsce w rejonie tytułowej drogi. Swego czasu na tym odcinku Długiej Drogi, w jej pobliżu, widziałem też mocno pochylone drzewo, które przy lekkich nawet powiewach wiatru stukało o sąsiednie. Przy okazji warto nadmienić, że tutejsze piękne lasy, nigdy – jeszcze sporo lat przed końcem XX w. – jak w wielu innych miejscach Sudetów, były zniszczone na skutek klęski ekologicznej.

Inaczej wygląda odcinek Długiej Drogi za skrzyżowaniem z inną wyraźną leśną drogą. Po pierwsze



Przykład grząskiego odcinka dawnej Maxlinie

dlatego, że zaraz za nim tytułowa droga jest nieco węższa niż tuż przed nim. Po drugie – i co bardziej charakterystyczne – dlatego, że Długa Droga już tuż za tym skrzyżowaniem jest porośnięta prawie w całości trawą. Las w jej otoczeniu nadal jest dość gęsty, choć są też odcinki nieco mniej zwartej drzewostanu. Także i tu gdzieś tam leżą w pobliżu drogi różnej wielkości głazy. W niektórych miejscach znajdują się – tak jak wyżej – zagłębienia terenu. Tu i ówdzie przepływają potoczki, także zmierzające w stronę doliny wspomnianej Bystrzycy. Niektóre, płynąc dość wartko, są swoistym urozmaiceniem krajobrazu lekko tu tylko pochyłonej wierzchołki tego fragmentu Gór Bystrzyckich. Trafiają się na tym porośniętym trawą odcinku tytułowej drogi miejsca grząskie, ze stojącą wodą – i to nawet w bezdeszczowy dzień. Także na tym odcinku Długiej Drogi swego czasu widziałem w jej pobliżu też pochylone – nieco mniej niż wyżej wspomniane – drzewo. Na wysokości ok. 735 m n.p.m., przy styku z inną gruntową drogą, kończy się ten odcinek Długiej Drogi – a według niektórych opracowań, jak wspomniano, tam umiejscawiany jest dolny kraniec Długiej Drogi.

Dalszy odcinek dawnej Maxlinie nawet w bezdeszczowy dzień jest miejscami też nieco podmokły, gdzieś tam grząski. Tu i ówdzie jest trochę błota. Początkowo nie jest tak porośnięty trawą jak wyżej opisany kończący się mniej więcej na wysokości ok. 735 m n.p.m. odcinek Długiej Drogi. Las miejscami jest tu nieco przerzedzony. Blisko drogi jest trochę pniaków po ściętych drzewach. Mniej jest w jej pobliżu głazów. Nieco niżej na drodze pojawia się trawa, a nawet małe drzewka. Niekiedy przyjmuje się, że na tym odcinku dawnej Maxlinie krzyżuje się ona po skosie z drogą określaną jako Mokra Ścieżka. W tym rejonie dawna Maxlinie jest praktycznie nie do przebrnięcia – nie tylko z uwagi na błoto. Pas drogi jest bowiem miejscami po prostu podmokły i grząski. Może w tym rejonie zaczyna się odcinek dawnej Maxlinie, który bywa określany jako Droga na Bude na Saniach?

Dalej opisywana droga opuszcza wysokopienny las, na pewnym odcinku wiedzie przez nieco otwarty teren. Przy odpowiedniej pogodzie widać stamtąd majaczący na horyzoncie – nieco w oddali – inny grzbiet górski. Następnie dawna Maxlinie krzyżuje się z dość szeroką tu Piaszczystą Drogą – wbrew nazwie tej ostatniej rzuca się tam w oczy na niej nie piasek, a drobne odłamki skalne. Tymczasem dalszy, najniższy poprowadzony odcinek dawnej Maxlinie, wiedzie znów wśród dość gęstego lasu. Na pewnym jego fragmencie pośrodku drogi ciągnie się pas trawy. Niżej jednak trawa porasta prawie cały pas tej leśnej drogi. Tak jest również w rejonie niewielkiej drewnianej budowli, jakby... szopy - budy (Droga na Bude na Saniach!). Gdzieś tam – także i tu – na drodze pojawia się woda. Oprócz trawy wyrastają też na niej małe drzewka. Porośnięty trawą jest też jej krańcowy fragment w rejonie styku ze wspomnianą wyżej leśną drogą na wysokości ok. 660 m n.p.m. Ten kraniec dawnej Maxlinie wygląda po prostu jak zarośnięta trawą leśna przecinka – zupełnie inaczej niż Długa Droga na styku z Wiecznością.

Tak pokrótce można scharakteryzować biegnącą prosto i łagodnie pochyłą drogę leśną łączącą Wieczność z rejonem Złamanego Buka.

Tym, którym dane będzie podążać Wiecznością za znakami czerwonego szlaku rowerowego, warto polecić przerwę w poruszaniu się nim przy styku z Długą Drogą na wysokości ok. 810 m n.p.m.

W jakim celu? Po prostu, aby z postoju napatrzeć się na to – w mojej ocenie – piękne miejsce. Jak rozpoznać ten punkt? Osoby zdążające Wiecznością od strony Zielonej Drogi w pewnym momencie będą mijaly leśną ambonę. Nieco dalej – po lewej stronie – przy drodze leży spory głaz. Jeszcze trochę dalej – też po lewej stronie – przy drodze znajduje się inny sporych rozmiarów głaz z inskrypcjami. Tylko nieco dalej od tego miejsca jest rozwidlenie dróg – prosto wiedzie Wieczność, w prawo skos natomiast tytułowa Długa Droga.

Bartosz Skowroński



**Drewniana budowla przy dolnym odcinku dawnej Maxlinie
(Drodze na Bude na Saniach)**

Schaffgotschowie i kaplica św. Wawrzyńca na szczycie Śnieżki

Na początku wieku XVII Śnieżka była przedmiotem sporów dwóch możliwych rodzin: Czernininów oraz śląskich Schaffgotschów, a także Albrechta von Wallensteina, wybitnego dowódcy wojsk cesarskich w okresie wojny trzydziestoletniej. Kandydatura Wallensteina do władztwa nad „Królową Karkonoszy” odpadła z chwilą zgładzenia go przez zaufanych cesarza. Po tragicznej śmierci Hansa Ulrycha Schaffgotscha (o czym pisałem na łamach „Gazety Wrocławskiej” w numerze z dnia 2 lipca 2019 r.) również i Schaffgotschowie znaleźli się w bardzo niekorzystnym położeniu. W najlepszej sytuacji byli Czerninowie.

W ten spór o panowanie nad Karkonoszami, całkiem nieświadomie został zaangażowany św. Wawrzyniec (Laurentius), był on uważany za patrona ludzi związanych z górami. Jego kult czczony był między innymi przez takie popularne w Karkonoszach zawody jak: hutników szkła i metali, poszukiwaczy minerałów – w szczególności obdarzali go szacunkiem Walończycy – pierwsi karkonoscy geolodzy. Był też św. Wawrzyniec patronem bibliotekarzy, administratorów, archiwistów i studentów.

Warto też wspomnieć, że w Dziwiszowie koło Jeleniej Góry, miejscowości znanej z górnictwa złota, istniał już od XIV wieku kościół pod wezwaniem św. Wawrzyńca.

Wróćmy jednak do opowiadania o Schaffgotschach.

Właścicielem wielu dóbr w Karkonoszach był syn straconego w Regensburgu Hansa Ulrycha Schaffgotscha Krzysztof Leopold, pan na Chojniku, Cieplicach, Sobieszowie, do niego należało też wiele innych dóbr, ziemia i lasy.

Hans Ulrych pozostawił po sobie pięcioro dzieci. Spośród wszystkich jego potomków to właśnie Christoph Leopold von Schaffgotsch (1623–1703) zrobił największą karierę. Został wychowany w duchu katolickim i przeszedł na to wyznanie, co otworzyło mu drogę do awansu i odbudowy pozycji społecznej. Niejako w nagrodę za zmianę wyznania cesarz Ferdynand III zwrócił mu część posiadłości jego ojca, w tym zamki Gryf i Chojnik. Christoph wstąpił do armii cesarskiej na rok przed zakończeniem wojny, czyli w 1647 r.

Ten śląski szlachcic podjął zamiar ufundowania i wybudowania na szczycie Śnieżki kaplicy, która poświęcona miała być św. Wawrzyńcowi.

Jej budowa na szczycie góry była dla Christopha Leopolda jednym z najważniejszych wówczas życiowych celów, dążył nie tylko do odzyskania skonfiskowanych przez cesarza pozostałych dóbr, ale i do powiększenia rodowego majątku. Stawiając na szczycie Śnieżki kaplicę, tworzył fakty



**Christoph Leopold von Schaffgotsch
– fundator kaplicy**



Carl Mattis, Śnieżka

dokonane i potwierdzał w ten sposób swoje panowanie nad znaczną częścią Karkonoszy.

Planując przyszłą budowę, w roku 1652 hrabia polecił przygotowanie drogi wiodącej na górę w celu ułatwienia prac związanych z transportem materiałów. 28 kwietnia 1653 roku rozpoczęto przygotowania do wzniesienia kaplicy. W tym celu wysłał pięciu swoich pracowników leśnych, aby zaczęli przygotowywać i gromadzić budulec, ścinając potrzebne do tego celu drzewa. Wycinka ta prowadzona była na terenie Złotówki w pobliżu dzisiejszej „Strzechy Akademickiej”. Praca trwała już w najlepsze, ścięto bowiem ponoć 120 drzew potrzebnych do budowy, gdy roboty trzeba było przerwać. Ówczesny właściciel pobliskich Kowar hrabia Czernin uważał, iż teren gór łącznie ze Śnieżką jest jego własnością, przysłał więc w celu uniemożliwienia działań prowadzonych przez hr. Schaffgotscha ośmiu swoich leśniczych.

Hrabia Herman Czernin zakupił bowiem wcześniej skonfiskowany majątek Hansa Ulrycha Schaffgotscha, jakim były dobra kowarskie, za sumę 144 200 talarów.

Spór prawny trwał bardzo długo, po jedenastu latach procesu, w roku 1664 na skutek pozytywnego orzeczenia sądowego na korzyść pana na Chojniku, wznowiono znowu prace budowlane.

Powierzono je mistrzowi murarskiemu z pobliskich Kowar Bartłomiejowi Natwingowi, który w lutym 1665 roku podpisał umowę z Schaffgotschem na budowę murowanej kaplicy na Śnieżce, za co otrzymać miał 180 talarów. Nie wydaje się, aby to była duża suma, przy budowie musiało bowiem pracować aż około 50-60 ludzi, z tego murarzy było kilku, reszta zaś to tragarze, którzy musieli wnosić tam materiały budowlane, było to niezwykle ciężkie zajęcie, zapewne chodziło tu o sam zarobek mistrza murarskiego z pominięciem innych kosztów. Warunki atmosferyczne, jakie panują w rejonie Śnieżki, nie są również sprzyjające pracom budowlanym, szczególnie wówczas 350 lat temu przy tamtych możliwościach technicznych.

Dużo trudu zajmowało wykonanie fundamentu, na którym miał spoczywać ten obiekt, aby tego dokonać należało najpierw usunąć grubą warstwę zwietrzliny, która pokrywała górę, liczyła ona około 4 metrów grubości. Następnie zaś trzeba było w tym twardym podłożu wykonać wykop pod fundament, musiały być to, przy ówczesnym poziomie techniki, prace bardzo pracochłonne i ciężkie. Trzeba też było wznieść budę będącą miejscem schronienia dla pracujących tam robotników, schodzenie w dół na noclegi było bowiem niemożliwe, zajmowałyby zbyt dużo czasu i siły; ta pierwsza budowa w okolicach Śnieżki znana jest niekiedy pod nazwą Herrenbaude, jednakże był to obiekt prowizoryczny i po dziesięciu latach budowla przestała istnieć.

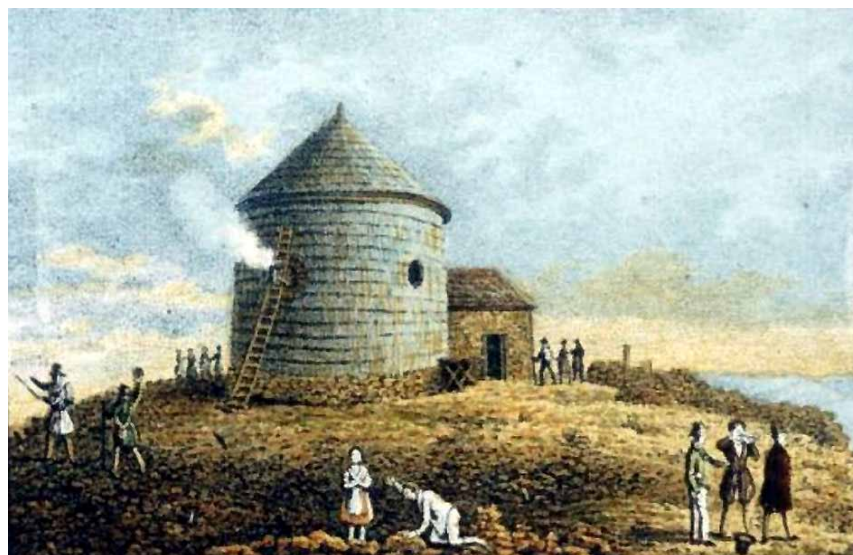
Krótki okres, w którym można było prowadzić prace budowlane i wietrzna pogoda, która jest stałym elementem klimatu tej góry, utrudniały wykonanie zadania. Wielokrotnie wiatr uszkadzał wznoszoną kaplicę, szczególnie zaś dach, który kilkakrotnie trzeba było naprawiać.

Nie jest wiadome, kiedy dokładnie ukończono prace budowlane i dlatego trwały one aż tak długo, nie wszystko można wytłumaczyć problemami technicznymi, niemniej jednak istnieją dowody pisane, iż stała ona już w roku 1667 i 1677. Na pewno nie została



Gasthaus und Kapelle auf der Schneekoppe.

Schronisko i kaplica na Śnieżce



Widok kaplicy z okresu pomiędzy 1824 a 1850 rokiem

poświęcona, nie można więc było uznać jej za oficjalne miejsce kultu religijnego. Można przypuszczać, że na opóźnienia miał też pewien wpływ pożar na zamku Chojnik i konieczność przeniesienia siedziby rodowej z tego zamku do Sobieszowa i Cieplic, co zapewne absorbowowało Schaffgotscha.

Latem 1681 roku rozpoczęto przygotowania do poświęcenia kaplicy. Z Krzeszowa przywieziono wozem ołtarz, który następnie przy pomocy wielu robotników wniesiono na sam szczyt i zamontowano w kaplicy. Pierwotnie uroczystość miała się odbyć w dniu 6 sierpnia, jednakże zreflektowano się, że nie ma jeszcze potrzebnej relikwii i dlatego termin przesunięto na dzień 10 sierpnia.

Kaplicę poświęcono 10 sierpnia 1681 roku, dokonał tego opat klasztoru w Krzeszowie Bernard Rosa. W uroczystości oprócz dziesięciu duchownych uczestniczyło również około 100 wiernych.

Nabożeństwa urządzano tam początkowo rzadko i nieregularnie, jednak od 26 maja 1709 roku odbywały się już systematycznie pięć razy w roku: w dniu Wniebowstąpienia, następnie w dniu 2 lipca t. j. w dniu Nawiedzenia Marii, 11 sierpnia w dniu św. Wawrzyńca, w dniu patrona kaplicy, Wniebowzięcia - 15 sierpnia oraz w dniu 8 września w dniu narodzin Marii. Od 1749 roku postanowiono jednak zmniejszyć ilość odprawianych tam nabożeństw do trzech w ciągu roku, a właściwie w ciągu okresu letniego, gdy była ona łatwiej dostępna.

Kaplica formalnie należała do parafii w Miłkowie, ale nabożeństwa odprawiali tam i opiekowali się nią mnisi z Cieplic, którzy docierali końmi na Złotówkę do budy, gdzie nocowali, było to w pobliżu miejsca, gdzie stoi dzisiejsza «Strzecha Akademicka», rano udawano się do kaplicy. Zakonnicy bynajmniej nie czynili tego wyłącznie z powodu potrzeby duchowej, była to też dla nich pewna forma zarobkowania, za drogę otrzymywali po jednym talarze i po 10 srebrnych groszy.

Z biegiem czasu, gdy zaczął rozwijać się również ruch pielgrzymów «świeckich», w położonej tam budzie, która nazwę swoją brała każdorazowo od jej nowego właściciela (Samuela, Daniela, Hampla), zaczynała panować atmosfera zapewne mało «pobożna» i daleka od tej, jaka potrzebna jest osobom duchownym do religijnej medytacji. Z tego właśnie powodu w roku 1738 została zbudowana dla nich osobna buda zwana potocznie «Księżym Schroniskiem», była ona nieco oddalona od tej «świeckiej» położonej przy Śląskiej Drodze.

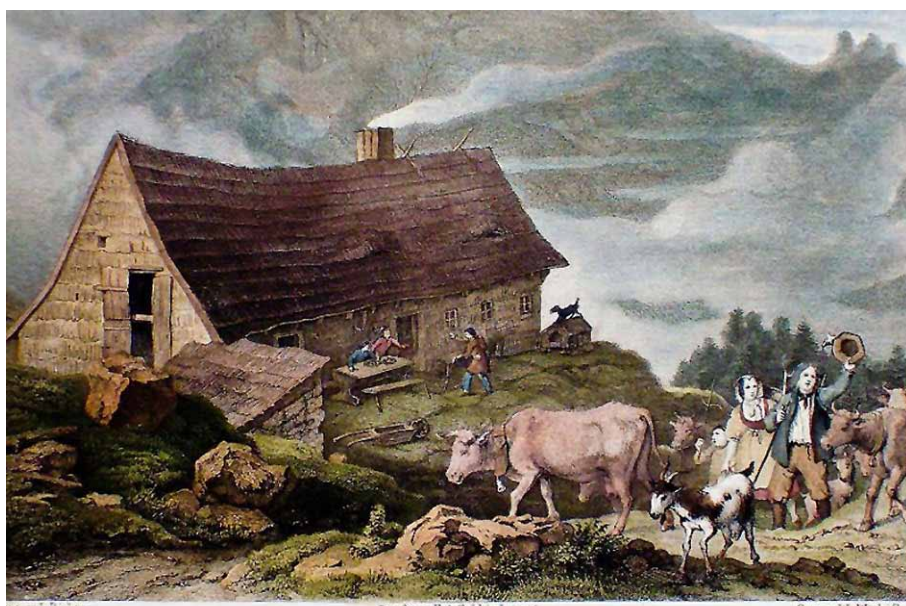
W dniu, w którym były odprawiane nabożeństwa, w górach panował duży ruch, przybywali tam mieszkańcy górskich bud pasterskich oraz wielu innych z okolicy, a także cieplicczy kuracjusze. 30 czerwca 1711 na Śnieżce zebrało się około 800 osób; dwa lata później 2 lipca 1713 roku 350 wiernych przystąpiło tam do komunii, co oznacza, że musiało ich być dużo więcej. W roku 1715, 8 września, zapewne frekwencja nie była już tak wysoka, bowiem spadł wówczas duży śnieg o głębokości około 40 centymetrów i panowała gołoledź, uniemożliwiająca swobodne poruszanie się po górskich szlakach. W ten śnieżny dzień udali się do kaplicy dwaj mnisi z Cieplic, a swoimi przeżyciami związanymi z tą wyprawą podzielili się ze współczesnymi i potomnymi takim oto wpisem, jaki pozostawili w budzie na Złotówce:

„Kto kiedykolwiek w śniegu szedł na Śnieżkę, ten sam zrozumiał, że nie można słowami opisać, jak trudno człowiekowi dostać się na tę górę. Niech Pan Bóg wynagrodzi te wszystkie trudy. Śnieg leży do 3-4 łokci, lód okrywa drzewa i szlaki.”

W tym czasie powstaje zwyczaj, który rozpowszechnił się później na całe Karkonosze, wykładania ksiąg pamiątkowych. Pielgrzymi udający się do kaplicy wpisywali się do takiej księgi w budzie na Złotówce.

Legenda karkonoskich przewodników górskich Tadeusz Steć pisze, że 17 września 1736 roku do tej księgi wpisało się dwóch muzykantów, którzy przytachali ze sobą harfy. Były to wówczas w tym rejonie bardzo popularne instrumenty muzyczne, również i wiele lat później, nawet ponad 150, były one na stałym wyposażeniu większości karkonoskich schronisk i górskich hoteli.

Zakorzeniło się też wówczas wiele zwyczajów, które dzisiaj uważane są za barbarzyńskie, takie jak:



Buda Hampla

wycinanie na drzwiach kaplicy swoich nazwisk czy też powodowanie lawin kamiennych i strzelanie z broni palnej na wiwat.

Kaplica nie uchroniła się jednak przed siłami przyrody. Szczególne zagrożenie sprawiały wyładowania atmosferyczne, ze względu na jej położenie i fakt, że była ona najwyższym punktem, poznała wielokrotnie niszczycielską moc piorunów. Tak było w roku 1754, kiedy to piorun zniszczył dach świątyni; zaś w roku 1771 uderzył z taką siłą, że aż pękł mur kaplicy. Najgorzej jednak było w roku 1818, kiedy to w ciągu jednej godziny kaplica została uderzona aż pięciokrotnie.

W roku 1810 państwo pruskie znalazło się w trudnej sytuacji finansowej, musiano spłacić Francuzom ogromną kontrybucję w wysokości aż 140 milionów franków. Król pruski

Fryderyk Wilhelm III postanowił więc sięgnąć również do kieszeni kościoła katolickiego i upaństwowić dobra klasztorne po to, by je później sprzedać. W latach 1810–1811 na terenie Śląska sekularyzacji podlegało 41 klasztorów męskich, 13 żeńskich opactw i 1 żeński klasztor, 60 majątków kapituły, 20 kolegiat i wiele innych składników majątku kościelnego. Zlikwidowano też zakon cystersów, który opiekował się kaplicą św. Wawrzyńca, nie było więc komu odprawiać tam nabożeństw. W związku z tym ustał również ruch pielgrzymkowy na Śnieżkę. Rychło jednak zastąpił go turystyczny ruch świecki. Zaczęło pojawiać się coraz więcej tych, którzy przybywali tu nie po to, aby szukać przeżyć religijnych – spotkań z Bogiem, ale po to, aby zaznać przyjemności poznawania czegoś niezwykłego i nieznanego dotąd.

Kiedy w roku 1810 przeprowadzono sekularyzację, kaplica św. Wawrzyńca stała pusta, opiekował się nią wprawdzie gospodarz budy na Złotówce zwanej wówczas Danielsbaude, ale nie przeszkodziło to w jej dewastacji, dlatego ołtarz z kaplicy i część wyposażenia przewieziono do Sosnowki do kaplicy św. Anny, a w byłej już kaplicy urządzono schronisko górskie.

W roku 1854 przywrócono temu budynkowi ponownie funkcje sakralne.

Wieczorem 20 czerwca przybyła na szczyt Śnieżki liczna grupa duchowieństwa na czele z arcybiskupem wrocławskim Heinrich Försterem, celem tej wizyty było ponowne poświęcenie kaplicy. Jak pisze jeden z jełnógórskich kronikarzy Moritz Vogt: „U stóp Śnieżki ustawiono łuk honorowy z gałęzi kosodrzewiny. Nocleg zorganizowano w pomieszczeniach restauracji na szczycie Śnieżki. 21 czerwca o godzinie 9 rano duchowni stanęli ze świecami woskowymi i misternie rzeźbionym drewnianym krucyfiksem przed pokojem Jego Emencji, by nu towarzyszyć. (...) We wnętrzu [kaplicy], przy zapalonych świecach, nastąpiło poświęcenie ołtarza, koncelebrowane przez dwunastu duchownych.”

Arcybiskup wygłosił kazanie, uroczystości trwały kilka godzin, a jeden z gości popełnił z tej okazji okolicznościowy wiersz.

Obecnie raz w roku, w sierpniu, odbywa się tutaj nabożeństwo, kaplica służy też tym, którzy odczuwają potrzebę, aby pomodlić się w pięknej scenerii Karkonoszy.



Śnieżka – koniec XIX w.

Koppenbuch
Eintragungen von D. Kaspar Gottlieb Lindner



Księga Śnieżki

Góry Kaczawskie: skały, łąki i słońce

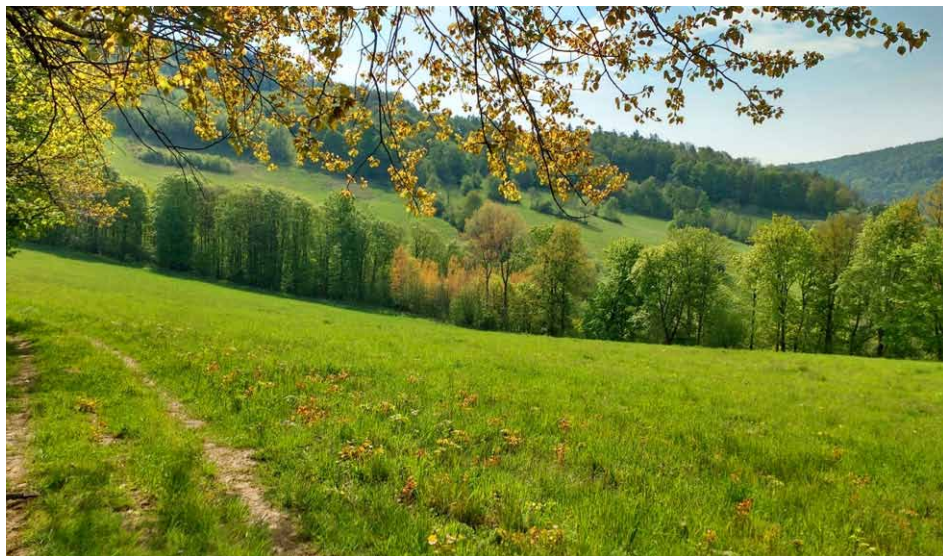
Początek maja.

Byłem w połowie podejścia na Chmielarza, gdy z dołu usłyszałem szczekanie i ludzki głos. Po paru minutach rozmawiałem z mieszkańcem Wojcieszowa, miasteczka w dole. Zapytałem o Lisie Skały, zaproponował pójście razem.

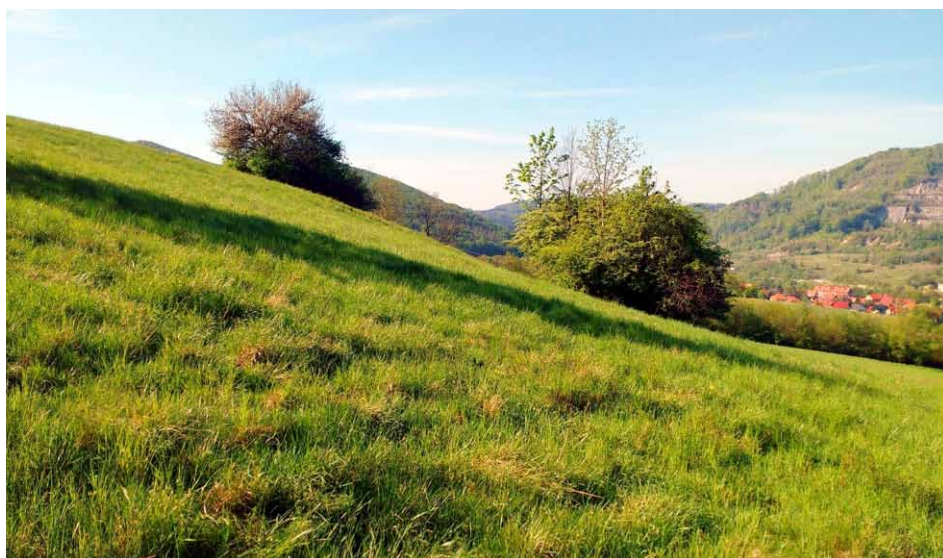
Najprędzej doszliśmy do porozumienia w ocenie ludzi wyrzucających śmieci w górach, ale jednocześnie dość szybko zauważyłem, że mój rozmówca nie wie o tych skałach. Byliśmy blisko szczytu Chmielarza, gdy pokazał kierunek w stronę znanych mi skał pod szczytem. Już nie wprowadzałem go z błędu, a po pożegnaniu ruszyłem na samotne poszukiwania. Nie trwały długo. Odwiedziłem skały szczytowe i, myszując po zakamarkach, zacząłem schodzić niżej. Błąkał mi się po głowie obraz łąki z widokiem miasteczka i skały z przewieszonym szczytem stojącej kilkanaście metrów od brzegu lasu. Pomogła mi tablica informacyjna. Bez niej byłoby trudniej, ponieważ teraz, gdy drzewa mają liście, skały są niemal niewidoczne z brzegu lasu, a powyżej drzew nie wystają.

Dziwna jest struktura tych skał. Wyglądają na skały osadowe z wyraźnie zaznaczonymi warstwami osadów. Na tablicy podano, że są z wapienia zieleńcowego. Co to jest wapień, wiem, ale zieleńcowy? Nie bardzo.

Ogromne i często spotykane pokłady wapieni są świadectwem niewyobrażalnie długiej historii Ziemi i znacznych przeobrażeń jej powierzchni. Skały te powstały z opadających na dno morza muszelek czy skorupki żyłatek wodnych. Żyły, umierały i opadały na dno w ciągu tysięcy wieków, a w końcu ich grube osady przeobraziły się w skałę. W wapień, z którego ludzie stawiają swoje budowle, wypalają wapno i cement.



Chmielarz widziany z Bielca



Na Chmielarzu



Lisie Skały na Chmielarzu

Tydzień temu, będąc z kolegą wyżej na zboczu góry, zobaczyłem znaną mi i pamiętaną łąkę z drogą biegnącą brzegiem, przy drzewach. Zawsze mi się podobała i chyba już wtedy, tydzień temu, postanowiłem wrócić tutaj nie tylko dla Lisich Skał, ale i dla tej dróżki na Bielcu.

Siedziałem na jej brzegu i z ukontentowaniem patrzyłem na góry jakże odmienne od tak dobrze znanych z zimowych wędrówek.

Na szczycie górki jest ciekawe miejsce. Niewielki lasek tam rosnący kończy się nagle razem z ziemią, na której rośnie, a jeśli podejdziesz się do krawędzi urwiska,

zobaczy się niemal pionową ścianę skalną, powiększoną wielką dziurą w ziemi. To pozostałość po kamieniołomie Gruszka. Teraz nazwy góry i kamieniołomu używa się wymiennie.

Chciałem znaleźć dogodnie przejście w lasach oddzielających te dwie odwiedzone góry od następnej, Zadorę i otaczających ją rozległych i ładnych łąk. W chaszcze nie wpakowałem się, ale dogodnym moje przejście nie było. Powinienem wrócić tam i spróbować raz jeszcze, wspomagając się GPS.

Na dnie płytkiej doliny znalazłem kolejne potwierdzenie suszy: wyschnięty strumień, nie najmniejszy, bo, sądząc po śladach, miał przynajmniej pół metra szerokości. Tam nawet śladu wilgoci nie widać.

Na jakimś wzgórkach z ładnym widokiem zarządziłem przerwę. Zdejmując plecak, spojrzałem na horyzont i nim pomyślałem, mruknąłem pod nosem: Grodziec. Leżałem w trawie, poprzez żdzbla patrząc w dal. Ciekawa perspektywa. Z odległości pięciu kilometrów widziałem czarne punkciki na łące podchodzącej pod szczyt Gackowej. Wiedziałem, że są to samotne świerki i wiedza ta, jak i odruchowe rozpoznanie góry, sprawiły mi przyjemność.

Jakże odmienna była ta przerwa od zimowych chwilówek!

Podnosząc się, zobaczyłem wygniecioną trawę i wtedy wróciła do mnie myśl z chwili gapienia się w niebo. Pomyślałem wtedy, że tak pusto tutaj i cicho, a teraz, widząc wygniecioną trawę, pomyślałem, że przecież są to żywe organizmy. Cicho tutaj, ale nie pusto. Leżałem na trawach i różnych zielonych roślinkach, obok rosną brzozy, wokół gałęzi uwija się rój jakichś latających stworów, wyżej przelatują ptaki, w trawie zapewne chodzą mnogie małe stwory. Kilka razy widziałem sarny. Dwie podeszły blisko, nie widząc mnie. Przysiągłbym, że nie tyle strach, co zaskoczenie widziałem na ich pyszczkach nim poszły w skok.

Wszędzie wokół mnie tętni życie.

Jeśli tak spojrzę na świat wokół mnie, jakże prawdziwe jawią się słowa o matce Ziemi. Rodzicielce całego tego oszałamiającego bogactwa fauny i flory.

W planie miałem Zadorę, górkę widzianą z odległości kilometra, a pora była dopiero obiadowa. Szwen- dałem się więc po okolicznych wzgórzach i łąkach, cel zostawiając na deser.

Widziałem i słyszałem ruchliwe pszczoły na kwitnących jabłoniach. Gdzie ich ul? Musiały przelecieć spory dystans.

Na czereśniach wiszą spore już zielone kulki owoców, a głogi mają najpiękniejszy okres pęcznienia pąków i rozchylania się płatków. Kwitną też jarzębiny, tylko jesiony trwają jeszcze, czarne i smutne, w zimowym letargu. Jako ostatnie, bo nawet stare dęby, którym też nieśpieszno do wiosennej pracy, już rozwinęły swoje listki. Teraz mają nietypowy u nich seledynowy odcień. A jeśli już o tym piszę, to wspomnę o topolach. Ich



Miłek za zbocza Chmielarza



Miłek widziany ze szczytu Bielca

młode liście mają bardzo charakterystyczny kolor, rozpoznawany z daleka, ale nie wiem, jak go nazwać. Jakby do seledynu dodać trochę brązu? Miedzi? Może szczyptę... czego?

Przy wążym źródelku w zagłębieniu łąki zobaczyłem kępy niezapominajek. Z upodobaniem patrzyłem na nie, póki w wodzie obok nie zobaczyłem rozgniecionej dużej butelki plastikowej. Czar prysł. Odwróciłem głowę.

Nie podoba mi się bezkarność tych ludzi. W końcu zasypią wszystko, a ja, żeby cieszyć się kwiatkiem nad wodą, będę musiał udawać, że nie widzę śmieci obok.

Tracę przeżywanie, odbiera mi się radość obcowania z pięknem natury, a sprawcy śmieją się, zadowoleni z siebie i bezkarni. To niesprawiedliwe.

Wspomniawszy pewną uroczą polną drogę, poszedłem przez las na jej spotkanie. Po drodze uświadomiłem sobie, że przecież przy końcu lasu rosną buki, które kiedyś tak bardzo mi się spodobały i których później szukałem, a za lasem ta ładna droga zaczyna swój bieg pod górę, prosto w niebo, pod szpalerem czereśni.

Nierzadko budzi się we mnie chęć czy potrzeba wyjazdu w inne góry, zobaczenia nowych miejsc, i czasami jadę w obce góry, ale jednocześnie podobają mi się takie chwile, jak te dzisiejsze, z odruchowym rozpoznawaniem gór wokół, z wiedzą, co mnie czeka za zakrętem drogi, jaki widok zobaczę za grzbietem wzniesienia. Są świadectwem mojej bliskości z tymi górami.

Droga czekała na mnie. Uśmiechnęła się od mnie, odpowiedziałem uśmiechem. Idąc, patrzyłem na miejsce jej dotykania nieba, a za grzbietem zobaczyłem roztańczony bieg drogi do wioski.

Schodziłem w rozległą, łagodną dolinę, siedziałem na miedzy, oglądałem przydrożne kwiaty. Zatrzymałem się przy kępie białych, ładnych kwiatków. Tyle razy oglądałem tę roślinę, ale nie znałem nazwy. Dopiero dzisiaj wieczorem puknąłem się w czoło (gest pomagający w myśleniu, wiadomo) i zapytałem wujka Google.

Gwiazdnica wielkokwiatowa. Linia rozchylenia płatków jej kwiatów jest doskonałością.

Trzy drapieżne ptaki, na pewno nie kruki, szybowwały po niebie. Niemal wcale nie machały skrzydłami. One nie tyle leciały, co unosiły się w powietrzu, jakby prawo ciężenia ich nie dotyczyło albo wiatr miały na swoje usługi. Ich lot i sylwetki są równie doskonałe jak kształt kwiatów gwiazdnicy.

Wędrówkę zakończyłem na wzgórzu Zadora. Między ścianami lasów widać z niego zbocze sąsiedniego wzgórza wystrojone zagajnikami i kępami krzewów. Zwykły widok w tych górach, ale jest w nim urok tak pociągający, że patrzyłem głodnym wzrokiem.

Poszedłbym tam – pomyślałem, i po chwili uświadomiłem sobie, że przecież byłem parę godzin temu i że dokładnie tak samo myślałem, stojąc na wzgórzu jesienią 2018 roku.

Wracałem dziurawą, ale widokową boczną drogą. Pod wsią Muchów zatrzymałem samochód. Za mną i przede mną widziałem wspinałą aleję klonów. Muszę pojechać tam w październiku, aby zobaczyć klony w pysznych jesiennych kolorach

Opisy moich górskich wędrówek, uzupełnione zdjęciami, są w dwóch moich książkach dostępnych w wielu księgarniach internetowych. To „Sudeckie wędrówki” i „Góry Kaczawskie słowem malowane”.

Krzysztof Gdula



Widok na Połom i Wojcieszów ze szczytu Bielca



Aleja klonów pod Muchowem

Sekrety Zamku w Sobótce Górcie

„Zamek” w Sobótce Górcie to budowla w swej dziwacznej bryle niesamowita. Wyniki badań archeologicznych ukazały rewelacyjne świadectwa dziejów obiektu. Okazuje się, że komes Piotr Włostowic, sprowadzając z flandryjskiego Arrovaise kanoników regularnych od świętego Augustyna, nie na „surowy korzeń” ich sadzał. Wychodzi na to, że ofiarował zakonnikom **murowane z kamienia palatium** rodowe, okazałą budowlę przedromańską zapewniającą mnichom warunki bytowe zbliżone do tych, jakie mieli w rodzimym konwicie.

Całe przyziemie późniejszego kościoła i część dzisiejszego hallu to właśnie owo palatium. Specjalnie obrabiane ciosy kamienia rysują całkiem spory czworobok solidnego budynku rezydencjalnego. Budowli absolutnie odmiennej od powszechności i jak na swoje czasy szczególnie ekskluzywnej.

To pierwszy sekret, ale jakże istotny. Wykazuje dobitnie, że ród Piotra Włostowica to nie byle władcy. Odkrycie podnosi znaczenie zamku niebotycznie. To nie XVI, nawet nie XII wiek, ale wcześniej niż wiek X! Abstrahując od Lednicy czy Wawelu, łatwo znajdziecie takie inne miejsca w Polsce ?

Kolejna niecodzienność wiąże się z ciągiem dziejów komesa Piotra. Kiedy zmarł w roku 1153, pochowano go (potem także żonę i syna) na Ołbnie wrocławskim, w kościele opackim, pod monumentalnym sarkofagiem. Premonstratensi opiekowali się grobowcem fundatorów opactwa należycie do nieszczęsnego roku 1529. Wtedy to protestancka rada miejska nakazała zburzyć opactwo olbińskie. Argumentem koronnym za wyburzeniem było stwierdzenie, że może ono stanowić bazę dla wojsk tureckich, które spod Wiednia mogłyby nadejść, aby oblegać Wrocław. Tłum zdewastował sarkofag. Wyciągnięto zeń i sprofanowano szczątki Włostowiców. Czaszkę komesa rozbito. Kości rozrzucono.

Kanonicy regularni z Piasku w wielkim secrecie pozbierali szczątki i gdzieś ukryli. Na wieki słuch po nich zaginął.

I oto, po bez mała pięciu stuleciach, podczas prac ratowniczych odkryto w prezbiterium



Fasada główna zamku



Czaszka Świętosława



Pochówek Świętosława

kościół prepozycki trzy pochówki. Trzy szkielety chowane w pozycji homoidalnej. Bez trumien, tylko w skromnych całunach. Dwie jamy grobowe pełnoprofilowe i jedna, jakby niedokończona. Kolejno: szczątki kobiety, szczątki wątłego mężczyzny i niekompletne szczątki mężczyzny słusznej postury. Czaszka wątłego mężczyzny nosi ślady deformacji ponowotworowej. Badania DNA wykazały pokrewieństwo młodszego mężczyzny i kobiety oraz tegoż od szczątków niekompletnych.

Kościół prepozycki. Miejsce, gdzie zaczęły się dzieje konwentu kanoników regularnych na Śląsku. Miejsce pierwotnej fundacji klasztornej. I właśnie tam znajdują się pochówki osób, które nie były dla zakonników tuzinkowymi postaciami. Bo byle kogo nie chowano u ołtarza i w pozycjach przynależnych najdostojniejszym nieboszczykom.

Wszystkie te daty, te kości (w ówczesnych śladowych źródłach wzmiankuje się, że Świętosław Piotrowic miał zdeformowaną twarz), fakty i miejsca doskonale się zazębiają i dają asumpt do wysnucia wniosków, raczej jednoznacznych.

Palatium i pochówki stanowią dla zamku skarb nie do przeszacowania. Oczekiwać należy tylko na zakończenie ciągnących się w nieskończoność prac renowacyjnych.



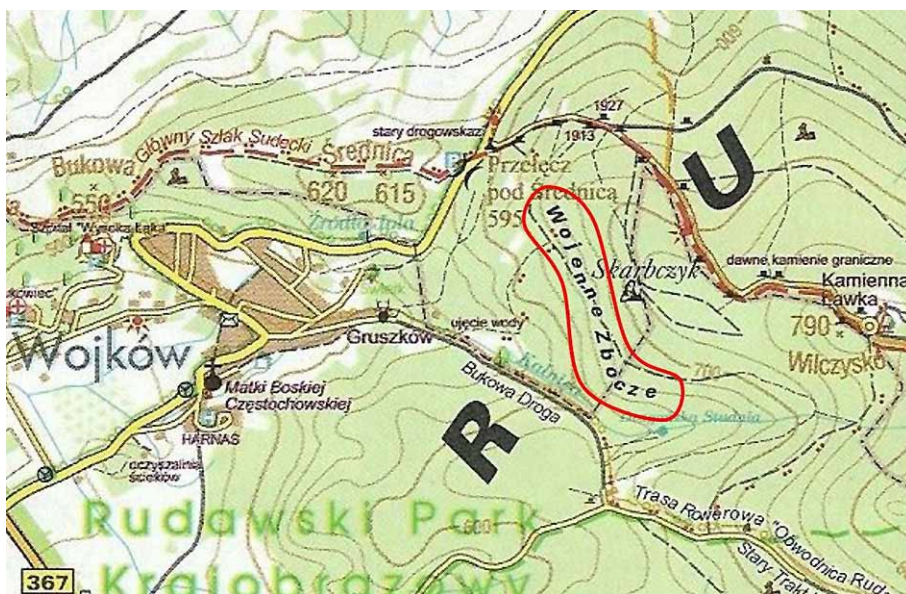
Grób Włostowica

Andrzej R. Kociński

Pułapki toponomastyki

W Rudawach Janowickich południowe (od strony Kowar) zbocza Wilczyńska (789 m n.p.m.) na dokładniejszych mapach są opisywane jako „Wojenne Zbocze”. Źródło tej intrygującej nazwy zdaje się wyjaśniać „Słownik geografii turystycznej Sudetów” (t.5. „Rudawy Janowickie”), sugerując przy okazji jej pierwotne pochodzenie: „*Kriegeslehne. Wojenne Zbocze. [...] Zboczem biegnie droga leśna o tej samej nazwie, którą być może zbud. wojsko*”.

Wątpliwości budzą się w terenie – wędrując czerwonym szlakiem (GSS) z Przełęczy pod Średnicą na wschód, w kierunku Skalnika, już po ok. 100 metrach powyżej przełęczy, na rozstaju dróg, spotyka się kamień-drogowskaz, na którym od strony szlaku (nb. biegnącego tu asfaltową(!) drogą) wykuto napis „Knipfels Damm”, a od strony odchodzącej w prawo ścieżki – „*Kriegeslehne Damm*”. Jest to właśnie ta droga trawersująca południowo-zachodnie zbocza, od której ma pochodzić „wojenna” nazwa. Czytając dokładnie napis na kamieniu, widać jednak, że nie chodzi tu o wojnę (niem. *Krieg*), ale o nazwisko *Kriegel*, czyli, tłumacząc dosłownie, jest to „Droga zboczem Kriegla”. W tym przypadku okazuje się, że pominięcie literki „l” w nazwie spowodowało powstanie nowego toponimu – „Wojenne Zbocze” i upowszechnienie hipotezy o udziale wojska w zagospodarowaniu okolicznych lasów.



Wojenne Zbocze na mapie „Kamienna Góra i okolice” 1:40 000, Wyd. Plan, 2003

Przebieg owej Kriegelslehne Damm (czasem jest taka rozdzielna pisownia) widać dokładnie na mapie 1:25 000 Messtichblatt z 1939 r. Ponieważ na wydaniu tej mapy z 1913 r. omawianych dróg jeszcze nie ma, można wnosić, że sieć dróg leśnych na Wilczysku była rozbudowana w latach 20. XX w. Z tego też okresu pochodzi kilkanaście kamieni przydrożnych ze starannie wykutymi nazwami dróg i – czasami – z datą, spotykanych po obu stronach grzbietu Wilczyska. Aktualne zdjęcia tych kamieni zrobione wiosną 2020 r. są dostępne wraz z mapką ich rozmieszczenia na portalu polska-org.pl (dawniej „Hydral”) pod adresem https://polska-org.pl/8741048,Wilczysko_790_m_n_p_m.html.

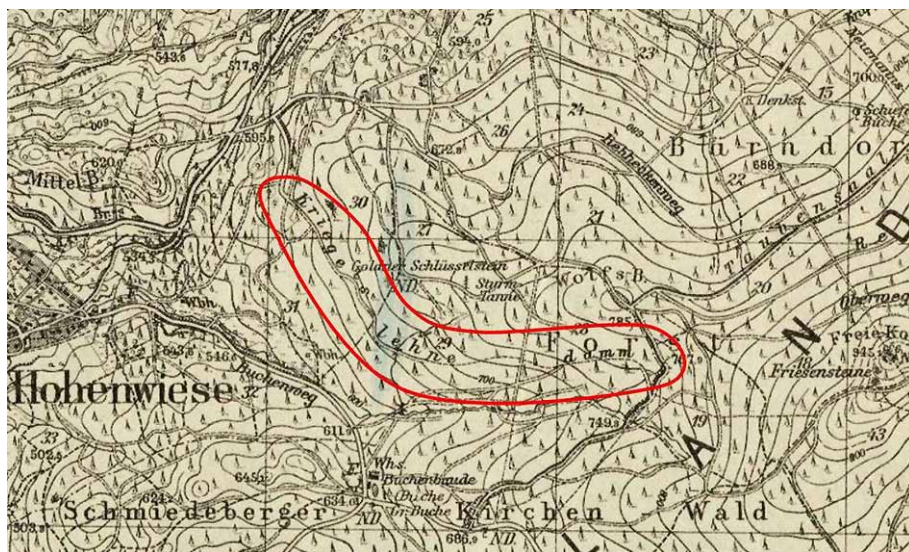
Trudno powiedzieć, kim był ów Kriegel, natomiast znany jest patron drugiej drogi leśnej, czyli Knippels Damm, trawersującej północne zbocza Wilczyska na wysokości 640–660 m, a zaczynającej się przy opisanym kamieniu nad Przełęczą pod Średnicą. Ernst Wilhelm Knippel (ur. 1811 r. w Ściegnach; zm. 1900 r. w Kowarach) był grafikiem i wydawcą, autorem m. in. cenionych widoków Rudaw i Karkonoszy. Ok. 2 km od Przełęczy, przy tej „jego” drodze znajduje się nawet stosowny kamień pamiątkowy ufundowany już w 1909 r. przez księcia Henryka XXX Reuss rezydenta Nowego Dworu w Kowarach.

Kolejny raz okazuje się, że mało uczęszczane i pozornie nieatrakcyjne miejsca w Sudetach kryją nie tylko ładne widoki, ale i ciekawe ślady zapominanej od dekad historii.

Obecnie fragmentem dawnej Knippels Damm prowadzi 5,5-kilometrowa ścieżka dydaktyczna im. J. Boissé. Ścieżka była otwarta uroczyście w czerwcu 2016 r. i jest poświęcona hm. Januszowi Boissé „Błademu” (1932 - 2015),



**Kamień nad Przełęczą pod Średnicą.
Strona Knippels Damm i strona Kriegelslehne Damm**



**Okolice Wilczyska na mapie Messtichblatt 1:25 000,
„Kupferberg”, 1939**

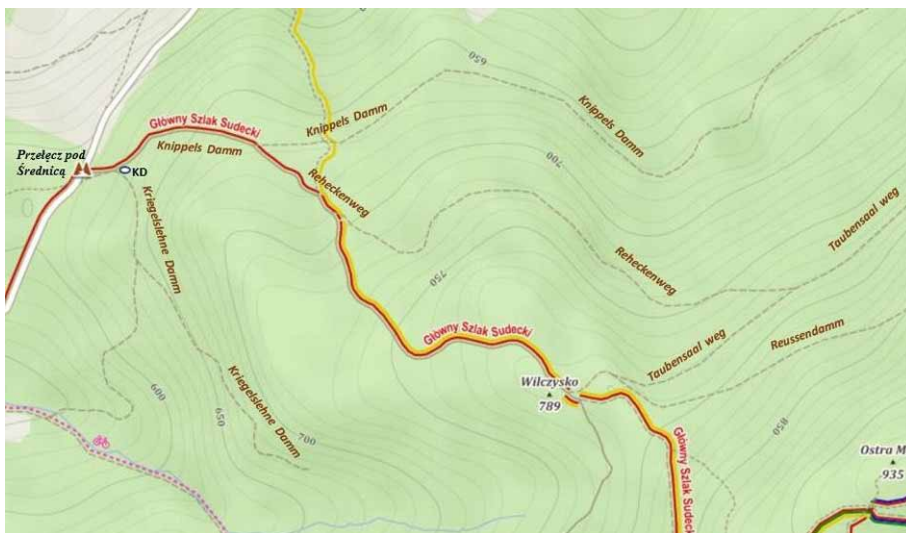


**Fragment ścieżki dydaktycznej im. J. Boisse;
na drzewie widać niestandardowy sposób jej znakowania**

legendarnemu w środowisku łódzkim wychowawcy młodzieży, twórcy Harcerskiego Klubu Turystycznego „Tramp”, wielokrotnemu uczestnikowi obozów harcerskich w ich bazie mieszczącej się od 1972 r. w pobliskiej Strużnicy.

Witold Komorowski

**Stare drogi i współczesne szlaki turystyczne.
KD – kamień-drogowskaz**



Sudeckie drzeworyty Stefanii Dretler-Flin

Okazuje się, że coronavirus może mieć i dobre strony. Zabrałem się za porządkowanie redakcyjnych notatek i znalazłem kilka niewykorzystanych tematów. Swego czasu zbierałem materiał do drzeworytnictwa na Podhalu, w jakimś momencie został zarzucony i do niego już nie wróciłem. Pozostało trochę zapisków, nawet ilustracji. Jeden z nich odnosi się do drzeworytów sudeckich źródeł Stefanii Dretler-Flin (1909-1994).

Artystka ukończyła Wydział Grafiki w Państwowej Szkole Przemysłu Artystycznego w Krakowie, a po studiach kształciła się jeszcze w latach 1936-37 w paryskiej Académie Colarossi. Specjalizowała się w technikach graficznych - linorycie i drzeworycie, jej wczesne prace – pejzaże podhalańskie, widoki Krakowa



Cieplice Śl.



Duszniki-Zdrój



Kudowa-Zdrój



Polanica-Zdrój



Solice (Szczawno-Zdrój)



Świeradów-Zdrój

odznaczały się dynamiką i żywiołowością, w późniejszych pracach upraszczała rysunek i fakturę, w wyważony sposób operowała czernią i bielą. Po roku 1960 realizowała się już wyłącznie w ceramice figuralnej.

W okresie wojny przebywała we Lwowie, a następnie przeniosła się do Warszawy, uczestniczyła w Powstaniu Warszawskim. Jej mąż Zygmunt Flin był absolwentem Wydziału Architektury Politechniki Lwowskiej i również w wolnym czasie zajmował się rzeźbą ceramiczną.

W biogramie artystki ważnym okresem był udział w krakowskiej Grupie Dziewięciu Grafików (1947-1960), było to pierwsze ugrupowanie plastyczne po wojnie i zarazem pierwsze kontynuujące tradycje przedwojennej grafiki artystycznej, sięgające do ośrodków wileńskiego, warszawskiego i krakowskiego. Grupa kultywowała tradycje stowarzyszeń: „Ryt”, „Bunt”, „Czapka Frygijska”, „Jung – Jidisz”. Nazwa grupy wzięła się od liczby członków, funkcję nieformalnej przewodniczącej pełniła artystka Krystyna Wróblewska. Połączyło ich zamiłowanie do klasycznego warsztatu graficznego dbającego o kompozycję, szczegóły i perfekcyjność.

Wspomniałem wcześniej, że Stefania Dretler-Flin kształciła się również w szkole artystycznej założonej w XIX wieku przez Filippo Colarossiego. Uczelnia na ówczesne lata była niebywale nowatorska, dopuszczała do nauki panie, w tym... proszę sobie wyobrazić – podczas ćwiczeń w rysowaniu i malowaniu z nagiego modelu! W 1910 zatrudniono w Akademii jako wykładowcę pierwszą kobietę Nowozelandkę Frances Hodgkins. To jeszcze nie wszystko, swój żywot uczelnia zakończyła... skandalem. Zamknięta została po śmierci Colarossiego w 1920 roku, a żona... spaliła całe archiwum uczelni w odwecie za skłonności męża do flirtowania ze studentkami.

Wielu sławnych artystów kształciło się w tej uczelni, także Polaków. Jej absolwentami byli również Stanisław Wyspiański, Włodzimierz Tetmajer, Franciszek Siedlecki, Zofia Dziurzyńska-Rosińska. Był także Max Weber - Żyd urodzony w Białymstoku, późniejszy czołowy amerykański malarz modernista i pionier kubizmu.

Prace Stefanii Dretler-Flin znajdziemy w nielicznych opublikowanych tekach: „Najpiękniejszy jest Kraków” (1947), „Warszawa” (1948), „Polskie uzdrowiska” (1948), z tej ostatniej zacerpnąłem drzeworyty sudeckich uzdrowisk: Cieplice Śląskie, Duszniki, Kudowa, Karpacz, Polanica, Solice i Świeradów. Ciekawostką będzie informacja, że odbite zostały z oryginalnych klocków gruszkowych. Dlaczego podkreślam ten fakt? Do drzeworytów wykorzystuje się klocki z różnego rodzaju drzewa, ale z gruszkowego i lipowego uznaje się za materiał luksusowy. Dziś temat drzeworytów sudeckich artystki jest mocno zapomniany.

Ryszard M. Remiszewski

Sezon na Karkonoszkę?

Ten prowokacyjny tytuł wynika z błędu literowego, który pojawił się w tytule nowego „Sezonu na Karkonosze”. Wspomniany błąd nie umniejsza zawartości omawianego czasopisma. W wydaniu wiosna-lato-jesień 2020 można przeczytać o: 20-leciu istnienia Związku Miast i Gmin „Karkonosze”, który wydaje „Sezon...”, karkonoskich tradycjach, wystawach historycznych i ścieżkach dydaktycznych. Możemy także zapoznać się z grą z pieczętkami „Śladami Karkonosza” oraz z propozycjami wycieczek i atrakcji po polskiej i czeskiej stronie Karkonoszy.

„Sezon na Karkonosze” zazwyczaj można za darmo otrzymać w karkonoskich centrach informacji turystycznej lub pobrać w wersji elektronicznej na stronie internetowej <http://krkonose.eu/cs/propagacni-materialy>. Tym razem, ze względu na niepewność w turystyce związaną z pandemią COVID-19, czasopismo jest, niestety, dostępne tylko w wersji elektronicznej. Można je pobrać ze strony internetowej w trzech wersjach językowych: czeskiej, niemieckiej i polskiej. Bezpośredni link do wersji w języku polskim znajduje się tutaj: <http://resc.deskline.net/documents/1/CZE/fa019f0b-82b9-4e25-8cfd-b72a670d842d/file.pdf>.

Zbigniew N. Piepiora



Sezon na Karkonoszce Wiosna / Lato / Jesień 2020

Guliver w krainie liliputów

Zapraszamy w polskie Karkonosze do miasta Kowary i ścieżko piękne Parku Miniatur Dolnego Śląska. To wyjątkowe miejsce, w którym można pospacerować między niezwykle precyzyjne i z dużą dozą artyzmu wykonanymi miniaturami prawdziwych obiektów architektury, osadzonej w parkowym krajobrazie wśród prawdziwej, mistrzowsko zaaranżowanej zieleni. Obejrzymy kilkadziesiąt miniatur, w tym między innymi obserwatorium meteorologiczne na Śnieżce, zamek Chojnik, kościółek Wang, a także kowarski ratusz i pałac w czeskim Vrchlabí. Kontakt: Park Miniatur Zabytków Dolnego Śląska, Kowary, ul. Zamkowa 9, telefon: +48 757 522 242, www.park-miniatur.com, czynne codziennie: 9.00 – 16.00.

Nieznane Karkonosze

„Odkryj z nami to, co jeszcze niedokryte”, tak można by scharakteryzować nowy projekt związku gmin Svazek Krkonose. Bo największe czeskie góry, to nie tylko Śnieżka, źródło Łaby czy głównym grzbietem gór prowadząca Droga Przyjaźni Polsko-Czeskiej. Karkonosze to region obejmujący obszar Karkonoskiego Parku Narodowego wraz ze strefą buforową (otulina), ale także sąsiadujące z nim tereny, równie piękne i bogate pod względem przyrodniczym. Nowy numer „Sezonu na Karkonosze” pomoże w odkryciu takich właśnie miejsc, niezbyt znanych, choć na to zasługują. Gazeta zawiera także informacje o ludziach, którzy poprzez swoją pracę wpływają w znaczący sposób na charakter regionu. Po przeczytaniu naszej gazety, łatwiej będzie Państwu zorientować się w szerokiej ofercie i wybrać coś odpowiedniego dla siebie.



CzechTourism

Liberecký kraj

Województwo Śląskie

Karkonosze

To nie Toledo ani San Francisco i ścieżka „w korzeniach drzew”

Któregoś dnia „wyskoczyłem na rower”, by zobaczyć, co dzieje się w miejscach, gdzie dawno nie byłem. Trafiłem między innymi na ul. Winnica. Nazwa ulicy nie jest przypadkowa. Dawno, dawno temu, gdy to miejsce było daleko poza miastem, na zboczu wysokiej nadwiślańskiej skarpy opodal ówczesnego Torunia były winnice. Winorośl uprawiano od XIII do XVII wieku. Później na skutek rozbudowy twierdzy Toruń winnice zniknęły, a ich miejsce zajęły forty i schrony pruskiej twierdzy, później także obiekty miejskiej gazowni. Te dawno już zniknęły z krajobrazu Winnicy, w tym wielki zbiornik gazu, w ich miejscu stanęły współczesne apartamentowce. To jednak „zadziało się” na terenie gazowni. Nieco wcześniej, patrząc od strony zjazdu w Winnicę z ul. Traugutta, zachowała się wcześniejsza zabudowa rozdzielona uliczką (?) o nazwie Ścieżka Szkolna. Patrząc z dołu, z poziomu Winnicy (zdjęcie), można odnieść wrażenie, że jesteśmy w Toledo, Algierze czy San Francisco. Przez długie lata zaniedbana, dziś wyposażona w nową infrastrukturę, jest owa „ścieżka” oryginalnym elementem miejskiego krajobrazu. Trzeba dodać, że różnica poziomów między Winnicą a ul. Lubicką to ponad 20 m.



Ścieżka Szkolna w Toruniu na Winnicy

Ścieżka Szkolna jest jedynym łącznikiem między tymi ulicami na bardzo długim odcinku.

Jak wiemy, z Chin przez Czechy i Słowację dotarła do Polski moda na tzw. „ścieżki w koronach drzew”. Klinicznym przykładem jest monstrum postawione w Słotwinach

Park Tysiąclecia w Toruniu – „ścieżka w korzeniach drzew”



koło Krynicy Zdrój. W moim mieście zbudowano coś na wzór owych „instalacji”, tyle że nie w koronach, a... „w korzeniach” drzew. Może to lekka przesada, ale takie jest wrażenie. Oto w Parku Tysiąclecia na Podgórzu (lewobrzeżny Toruń, dawniej oddzielne miasto Podgórz) zainstalowano w najniższej, często podmokłej części parku zygzakowaty pomost do złudzenia przypominający te „w koronach”. Poza ławkami i urządzeniami na dużym placu zabaw jest to w parku „wielka atrakcja dla dorosłych i dla dzieci” jak mówią słowa piosenki, szczególnie gdy pomost pokonuje się na rowerze. Chwila nieuwagi skutkuje lądowaniem w bagienku, ale w sumie jest fajnie. Na szczęście do parku nie dotarła „barieroza”, czyli dość powszechna mania montowania wszędzie, czy trzeba, czy nie płotów i barierek.

Juliusz Wysłouch

(Nie)zapomniani świadkowie osadnictwa olenderskiego

Położone na tarasie zalewowym Wisły między Nowym Dworem Mazowieckim a ujściem Bzury pod Wyszogrodem Powiśle Kampinoskie jest jednym z tych terenów, gdzie nadal można zobaczyć elementy krajobrazu kulturowego wykształconego przez tzw. osadników olenderskich (zwanych także Olędrami, Holendrami czy mennonitami). Mimo że powstałe przez ponad 150 lat ich obecności sieci rowów melioracyjnych, mała architektura hydrotechniczna, groble lub sztucznie usypane pagórki czy typowe drzewostany z topolami i wierzbami nadgryzł już ząb, niestety, nie tylko czasu, to w dalszym ciągu, po blisko 75 latach od zaniku obecności i oddziaływania osadnictwa olenderskiego,



Piaski Duchowne



Sady

go, daje się jeszcze wyróżnić w terenie wiele cech charakterystycznych, zwłaszcza pod względem ukształtowania terenu oraz dziś już bardzo rzadkiego budownictwa.

Osadnictwo olenderskie na ziemiach polskich związane było z napływem protestanckiej grupy mennonitów, którzy uciekając przed prześladowaniami w rodzimej Fryzji i Niderlandach, przybyli w okolice Gdańska i na Żuławy Wiślane, przynosząc wraz ze swoimi oryginalnymi religią i zwyczajami wysoką kulturę gospodarowania, zwłaszcza terenami zalewowymi i podmokłymi. Z biegiem czasu

zaczęli przemieszczać się wzdłuż rzek, by osiedlać się w Wielkopolsce, na Kujawach czy Mazowszu. W późniejszym czasie osadnictwo olenderskie przestało być związane z kolonistami pochodzącymi z terenu Niderlandów czy z osobami wyznającymi wiarę mennonicą, a dotyczyło raczej konkretnego typu gospodarki związanego ze środowiskiem wodnym. W czasach napoleońskich wśród osadników przeważała już będąca konfesji ewangelickiej ludność niemiecka. Mimo tego w powszechnym użyciu pozostał zwyczaj nazywania nowo zakładanych wsi z użyciem określeń „Holenderski” czy „Holendry”. Dopiero później zaczęto na szerszą skalę stosować przymiotnik „Niemiecki”. Końcem obecności Olendrów były pierwsze lata po II wojnie światowej. W wyniku ucieczki osadników, którzy choć wcześniej często żyli w zgodzie z polskimi sąsiadami, to z racji języka i wiary byli po wojnie jednoznacznie utożsamiani z dotychczasowym okupantem, nastąpiło niemal całkowite unicestwienie kultury olenderskiej.

Osadnictwo olenderskie cechowało się znaczną odrębnością nie tylko form gospodarki, ale także wytwarzanej kultury. Utożsamiano je również z oryginalnym kształtowaniem przestrzeni. Tak jak w przypadku innych konfesji nieodłącznym elementem olenderskiego krajobrazu kulturowego były miejsca sakralne: świątynie i cmentarze. O doniosłym znaczeniu tych obiektów świadczyć może fakt, że umowa, jaką Olenдры zawierali z oddającym im w gospodarowanie ziemię, miała także zapisy mówiące o miejscu pochówku osadników. Po zachowanych do dziś w różnych czę-



Secymin

ściach Polski śladach osadnictwa olenderskiego można wnioskować, że prawie każda wieś miała swój cmentarz. Na terenie Powiśla Kampinoskiego dawne nekropolie ewangelickie są już dziś praktycznie jedyną materialną pozostałością przypominającą nieobecnych już osadników olenderskich.

Cmentarz w **Nowej Wsi Śladowskiej** znajduje się przy terenie szkoły podstawowej. Zlokalizowany jest na niewielkim pagórku. Założony został prawdopodobnie na początku XIX w. Obecnie na jego terenie odnaleźć można około 40 zachowanych nagrobków, z czego na kilkunastu można odczytać inskrypcje pochodzące z końca XIX i pierwszej połowy XX w. Nekropolia ta jest w miarę dobrym stanie, czego nie można powiedzieć o pozostałościach cmentarza w **Kromnowie**. Kilka rozrzuconych po krzakach kamieni nagrobkowych, w tym dwa kawałki tablic z nazwiskami. Obiekt, choć ogrodzony i z tablicą informacyjną, dziś praktycznie całkowicie jest zarośnięty lasem. Cmentarz położony na pograniczu **Piasków Duchownych** i **Gorzewnicy** znajduje się na niewielkim wzniesieniu i jest niemal całkowicie porośnięty krzakami. Na niewielkim zadbanym kawałku terenu znajduje się kilka nagrobków, z czego na jednym jest inskrypcja



Kromnów

z nazwiskiem. Na postumencie jednego z nieistniejących już dziś pomników można odczytać, że wykonała go firma Marankiewicza z Płocka.

Najokazalszym i najbardziej zadbanym cmentarzem olenderskim Powiśla Kampinoskiego jest nekropolia w **Nowym Secyminie**. Obiekt usytuowany jest na stoku niewielkiego wzniesienia. Od południa otoczony pozostałościami płotu ogrodzenia. Nekropolia założona została w pierwszej połowie XIX w. Zachowała się spora (ok. 35) liczba nagrobków w postaci kamiennych i cementowych obelisków i steli oraz kilka żeliwnych krzyży. Większość pomników posiada inskrypcje, z których najstarsze pochodzą z drugiej połowy XIX w., a większość z XX w. Cmentarz jest sprzątany i porządkowany przez miejscową ludność od czasu do czasu. Nekropolia w **Wilkowie nad Wisłą** leży w centralnej części wsi. Zachowało się kilkanaście grobów, w większości z inskrypcjami głównie z pierwszej połowy XX w. Cmentarz okresowo jest sprzątany przez miejscową ludność. Z kolei obiekty w **Gniewniewicach** i **Małej Wsi przy Drodze** są prawie całkowicie zdewastowane i zapomniane. Odnaleźć można tylko parę nagrobków, w tym raptem kilka z inskrypcjami dającymi się odczytać.

Od niedawna na wciśniętym w tereny należące do zakładów mięsnych cmentarzu w **Sadach** prowadzone są społecznie prace porządkowe. Pozwoliły one na identyfikację blisko 50 grobów (cementowych obramowań) oraz kilku płyt nagrobnych i jednego pomnika. W centralnej części nekropoli stoi drewniany krzyż. Cmentarz w **Kazuniu Nowym** położona jest za wałem wiślanym, niemal naprzeciw dawnego menonickiego domu modlitwy. Obecnie nieliczne (ok 15) pozostałości nagrobków (kilka połamanych płyt kamiennych z inskrypcjami oraz parę betonowych obramowań grobów) porzucane są pośród gęstego drzewostanu i krzewów.

Osadnictwo olenderskie i wytworzony przez nie krajobraz kulturowy warte są głębszego poznania, a także (o ile nie przede wszystkim) zachowania i ochrony tych nielicznych już pozostałości, które świadczą o obecności tej grupy mieszkańców na terenach Powiśla Kampinoskiego. Dobrym przykładem do naśladowania może być odnowienie przez miejscowych nekropoli w Dziekanowie Leśnym. Warto mieć zatem nadzieję, że podobny los spotka pozostałe zabytkowe cmentarze – świadków osadnictwa olenderskiego

Szymon Bijak

Nowe pasma górskie w Karpatach w świetle nowej regionalizacji fizyczno-geograficznej Polski

Wielu spośród turystów i czytelników „Na Szlaku” zna postać profesora Jerzego Kondrackiego (1908-1998). Był on autorem znanej i wydawało się, że niezmiennej regionalizacji fizyczno-geograficznej Polski. Powstała ona dawno temu na mapie w skali 1:500 000. Biorąc pod uwagę fakt tego, że skala mapy była niezbyt precyzyjna zespół polskich naukowców pod kierownictwem profesora Jerzego Solona z Polskiej Akademii Nauk postanowił uaktualnić regionalizację i tak w 2018 roku powstała publikacja naukowa, która przeszła właściwie bez echa w społeczności turystycznej. Publikacja ukazała się w czasopiśmie *Geographia Polonica* (2018, Volume 91, Issue 2, pp.143-170) pod tytułem „Physico-Geographical Mesoregiones of Poland: Verification and Adjustment of Boundaries on the Basis of Contemporary Spatial Data” – „Fizyczno-geograficzne mezoregiony Polski: weryfikacja i dostosowanie granic na podstawie współczesnych danych przestrzennych”. Praca ta zawiera mapę z podziałem Polski wyrysowaną w skali 1:50 000, a znajduje się pod adresem: http://rcin.org.pl/Content/65112/WA51_84317_r2018-t91-no2_G-Polonica-Solon.pdf

W kontekście Karpat sporo się pozmieniało. Wyodrębnione zostały nowe mezoregiony.

W Beskidach Zachodnich należących do Zewnętrznych Karpat Zachodnich doszły:

- Międzygórze Jabłonkowsko-Koniakowskie (513.55)
- Beskid Żywiecko-Kysucki (513.56)
- Pasma Pewelsko-Krzeczowskie (513.57)
- Działy Orawskie (513.58)
- Pogórze Popradzkie (513.59).

W Centralnych Karpatach Zachodnich doszła Magura Spiska (514.15). Do Łańcucha Tatrzańskiego (514.5) obok Tatr Wysokich i Zachodnich doszły Tatry Reglowe (514.54).

Niektóre pasma górskie zmieniły swoją nazwę, np. Beskid Żywiecki uległ podziałowi na Beskid Żywiecko-Orawski (513.51) (od Babiej Góry po Krawców Wierch) i Beskid Żywiecko-Kysucki (513.56) (od Krawców Wierchu po Zwardoń). Przede wszystkim doprecyzowano granice między regionami.

Chyba jeszcze nie wszyscy zdajemy sobie sprawę, iż nowa regionalizacja Karpat czyni prawdziwą rewolucję w dwóch aspektach. W pierwszym aspekcie przed dużym wyzwaniem stoją wydawnictwa kartograficzne – rodzi się bowiem pilna konieczność wyrysowania nowych map, tak aby nadały za rzeczywistością. W drugim aspekcie pojawia się nie lada wyzwanie przy zdobywaniu najwyższych szczytów poszczególnych pasm górskich Karpat. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że zmagania o zdobycie koron górskich w Karpatach zaczynają się niemal od nowa. W kolejnym artykule na łamach „Na Szlaku” postaram się zmierzyć z zadaniem wyznaczenia najwyższych szczytów nowo wyodrębnionych pasm górskich.

Sebastian Jakobsch

Zostało nie tylko wspomnienie

Jednym z arcyciekawych projektów wszechstronnego rozwoju Sądecczyzny był „Eksperyment Sądecki”, który został zrealizowany – niestety, częściowo – w latach 1958-1964. Nazwa uchwały Rady Ministrów nr 151 z 9 maja 1958 r. to oficjalny tytuł wielkiego przedsięwzięcia: *W sprawie rozwoju gospodarczego powiatu nowosądeckiego i miasta Nowy Sącz oraz rozszerzenia uprawnień terenowych organów władzy państwowej na tym terenie*. Pachnie biurokracją, ale skutki projektu w terenie były jak najbardziej konkretne. Także w dziedzinie turystyki...

Jednym z głównych elementów projektu była rozbudowa, odbudowa i promocja tego wszystkiego co w tym regionie służyło i miało służyć rozwojowi turystyki, lecznictwa uzdrowiskowego, rzemiosła, usług hotelarskich, ale też tradycyjnego sadownictwa, przetwórstwa owoców, gastronomii, nawet budowy dróg i wytwarzania atrakcyjnych pamiątek regionalnych. Niestety, w 1975 r. przemiany w kształcie podziału administracyjnego Polski, czyli m.in. utworzenie 49 województw – w tym nowosądeckiego – spowodowały zakończenie ambitnego projektu.

Autorami eksperymentalnego projektu – jak zapisano w licznych dokumentach z minionych lat i opracowaniach historycznych – byli **Kazimierz Węglarski** – przewodniczący Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, **Janusz Pieczkowski** – przewodniczący Prezydium Miejskiej Rady Narodowej oraz **Witold Adamuszek** – sekretarz Komitetu Powiatowego PZPR w Nowym Sączu. To oni sformułowali główne cele eksperymentu: siłą napędową rozwoju gospodarczego regionu miały być: lecznictwo uzdrowiskowe, turystyka jako główne motory gospodarki sądeckiej oraz przemysł ludowo-artystyczny, samorządność i inicjatywy społeczeństwa.

Ostatnio Antoni Kroh – jeden z wybitnych pisarzy sądeckich, autor książki *Powrót na Sądecczyznę* wydanej i nagrodzonej w 2020 r. w konkursie Fundacji Sądeckiej – wymienił wspomnianych działaczy, ale stwierdził: *Chyba nie da się ustalić, kto był „zapalnikiem” eksperymentu sądeckiego. Natomiast można stwierdzić bez wątplenia, że dokonania tamtych lat to dzieło całej społeczności Sądecczyzny, regionu o bogatych tradycjach społecznego działania.* (s. 270). Inny popularny pisarz i dziennikarz – Leszek Mazan z rodzinnymi korzeniami w Sądecczyźnie na łamach miesięcznika *Sądeczanin* (nr 6/2020, s. 67) napisał: *W latach „eksperymentu sądeckiego”, który dawał samorządowi wyjątkową, większą niezależność od władz centralnych, Nowy Sącz był zresztą w Polsce bardzo popularny, a to ze względu na gastronomię i porządek panujący w mieście... W szkole wpajano nam miłość do miasta, dobrze pojęty patriotyzm lokalny, dumę z tego, że jesteśmy stąd.*

To było tzw. poluzowanie lokalnej inicjatywy na fali przemian politycznych „po październiku 1956 r.” Program miał na celu rozwój samorządności w zarządzaniu oraz pomnożenie możliwości gospodarczych. Powstało osiem ważnych i efektywnych zakładów przemysłowych, hotel „Beskid” i wiele inwestycji miejskich w Nowym Sączu, kilkanaście „szkół tysiąclecia». Nowy Sącz promował neon *Odwiedzajcie Ziemię Sądecką* u zbiegu ul. Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej w Warszawie oraz klub i kawiarnia z imprezami sławiącymi Sądecczyznę. Znany mi był oryginalny projekt ekologiczny poprawy jakości środowiska. Jeden z autorów programu Kazimierz Węglarski dzięki współpracy z kołami Polskiego Związku Wędkarskiego doprowadził do ochrony dużych i małych cieków przez obserwację tego, co do nich spływa i karanie wykroczeń przeciw czystości wód.

W połowie lat 60. powstał Klub Przyjaciół Ziemi Sądeckiej skupiający kilkudziesięciu wybitnych ludzi, którzy przyczyniali się – i nadal to robią – do popularyzacji Sądeczyny, a są to m.in. międzynarodowe Forum Ekonomiczne w Krynicy czy światowego znaczenia Fabryka Okien Dachowych Fakro SA w Nowym Sączu. Do najważniejszych inwestycji przemysłowych – trwających do dziś po wielu latach rozwoju – należą Zakłady Newag SA. Ich tradycja sięga 1876 r., czyli Cesarsko Królewskich Warsztatów Kolejowych. Od 1918 specjalizowały się w naprawianiu lokomotyw parowych, a z czasem w ich produkcji. Od 1952 r. Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego, dziś to firma Newag SA znana na rynku krajowym i w wielu krajach z produkcji elektrycznych i spalinowych wieloczlonowych elektrycznych zestawów wagonowych, lokomotyw elektrycznych i spalinowych dla kolei dalekobieżnych, podmiejskich i zestawów wagonowych dla warszawskiego metra.

Sądeczyna ma miliony wielbicieli. Ich uczucia i wiedzę o regionie kształtuje od wielu lat Oddział PTTK «Beskid», który chlubi się tradycjami Oddziału Towarzystwa Tatrzańskiego sięgającymi 1906 r. W eksperymencie sądeckim wspierane były dawniej popularne stacje turystyczne, oczywiście schroniska z tym najbardziej znanym na Prehybie, wspomagane były kwatery prywatne i gospodarstwa turystyczne, a nawet całe wsie o takim charakterze. W szczytowym okresie rozwoju było ich 185 w całym powiecie. Wspomagano je kredytami na adaptację domów prywatnych na kwatery turystyczne i letniskowe. Gospodarze odbywali szkolenia w tym zakresie.

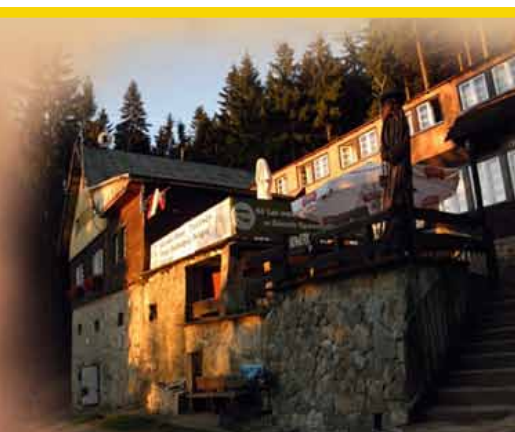
Eksperyment sądecki miał sprzyjać nie tylko rozwojowi gospodarczemu początkowo powiatowi, ale z czasem regionowi. Ogromne zmiany nastąpiły w zakresie kultury, bodajże żaden inny region u podnóża Karpat Zachodnich, na Podkarpaciu, w Małopolsce nie może się równać różnorodności, jaka istnieje dzięki setkom zespołów ludowych, konkursów, chórów, turniejów, obchodów, festiwali folklorystycznych. Wielką rolę w zachowaniu tradycji i utrwalaniu tożsamości mają muzea, izby, targi gromadzące twórców ludowych – z odkryciem Paszyna na pierwszym miejscu, a także utworzenie Miasteczka Galicyjskiego i działalność Małopolskiego Centrum Kultury «Sokół» w Nowym Sączu.

Do dziś z powodzeniem służą turystom skupione w zespole Schroniska i Hotele PTTK «Karpaty» obiekty na terenie Beskidów Zachodnich: schroniska na Prehybie, Starych Wierchach, Turbaczu, Wielkim Lubniu, Hali Łabowskiej, Jaworzynie Krynickiej, baczówki Pod Wierchomlą i na Maciejowej. Z czasem modernizowane, odnawiane, przyjazne środowisku i wędrowcom. Turyści wędrują po wielu szlakach wytyczonych i znakowanych jako pierwsze w naszych górach na początku XX wieku. Coraz częściej na wyniesieniach w Beskidzie Sądeckim, Wyspowym, Gorcach góry i ich krajobraz uzupełniają (by nie powiedzieć „upiększają») i ułatwiają poznawanie osobliwości oraz rozległych panoram – jakże ostatnio modne i coraz liczniejsze widokowe platformy i wieże obserwacyjne.

Myśl przewodnia eksperymentu sądeckiego nie przepadła w mrokach niepamięci. Jej wyznawcy i naśladowcy przedłużają ten pomysł od ponad 45 lat i nic nie wskazuje, że padnie ofiarą mijającego czasu i rozmaitych uwarunkowań. Eksperyment trwał krótko, ale nie da się o nim zapomnieć, bowiem zaznaczył się trwale w regionie nie tylko jako twórcze myślenie o turystyce i środowisku. Pozostały też liczne ślady materialne o znaczeniu na miarę minionego stulecia. Pojawia się jednak uporczywe pytanie: jaka jest i czy istnieje granica zagospodarowania naszej przestrzeni w górach. Czy znakiem czasu ma być ich przebudowa dla zaspokojenia doraźnych potrzeb i powodzenia tzw. biznesu ???

Tomasz Kowalik

Górski Dom Turysty
"Pod Biskupią Kopą"
48-267 Jarnośtówek 211
tel. 077/439-75-84
www.biskupiakopa.pl
e-mail: biskupiakopa@wp.pl



Tragiczny biwak na Zawracie

Sobota 13.06. (źródło TOPR)

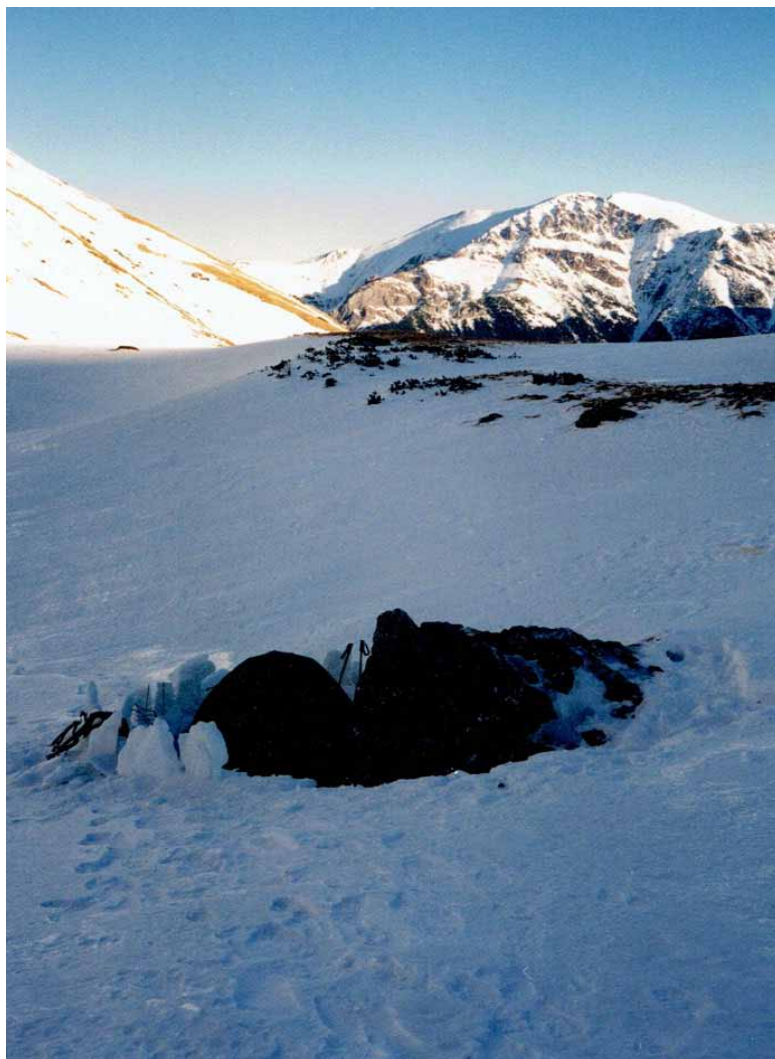
Po godz. 7.47 do TOPR zadzwonił turysta idący z Hali Gąsienicowej na Zawrat, informując, że u wylotu Zawratowego Żlebu natknął się na zwłoki mężczyzny. Tę informację potwierdza kolejny turysta. (...) Idący na Zawrat turyści informują o kolejnych zwłokach leżących w Zawratowym Żlebie. Znow startuje śmigłowiec. (...) Z jego pokładu ratownicy dostrzegają leżące zwłoki i desantują się w pobliżu. Okazuje się, że są to zwłoki kobiety. (...) Okazało się, że dwoje turystów dobrze wyposażonych, uczestników trudnych biegów i maratonów posiadających bardzo dobrą kondycję nocowało w namiocie na Zawracie, przy którym znaleziono porzucone raki, czekany i rzeczy osobiste. W nocy z piątku na sobotę przez Tatry przechodziła silna burza połączona z intensywnym deszczem i wiatrem wiejącym z kierunku SE, który na Kasprowym W. osiągał prędkość przekraczającą 100 km na godz. Inne źródło informuje: Para 42-latków wybrała się w Tatry w piątek albo dzień wcześniej. Biwakowali pod przełęczą, a obudzili się prawdopodobnie dopiero wtedy, gdy burza już nadeszła. Jak podaje portal tatromaniak.pl, turyści w sobotę znaleźli w okolicach Zawratu również porwany namiot.

Tyle suche informacje. Wydarzył się nietypowy wypadek, całkiem odmienny od setek wypadków turystycznych i taternickich zanotowanych w ciągu grubo ponad 100-letniej historii tatrzańskiej turystyki. Szczegółów tragedii można się tylko domyślać. Ofiary były niekompletnie ubrane, bez butów, w bieliznie termoaktywnej, czyli jak do snu. Raki, czekany i inne akcesoria znaleziono rozrzucone w pobliżu miejsca wypadku, poniżej przełęczy znaleziono porwany namiot. Prawdopodobnie zostali razem z namiotem zdmuchnięci z miejsca biwaku, wypadli z niego i zginęli, uderzając o skały.

* * *

Pomińmy stronę formalno-prawną, czyli zakaz biwakowania na terenie TPN. W Polsce nie ma tzw. prawa górskiego, takiego, jak w Alpach. W jego myśl dopuszcza się jeden biwak w jednym miejscu, zwłaszcza w sytuacjach awaryjnych. W praktyce, nikt nikogo z gór nie wygania, o czym się przekonałem podczas kilku wypadów w Dolomity, Alpy Graickie i Wysokie Taury. Prędzej w dolinie, w pobliżu miejscowości jakiś nadgorliwy funkcjonariusz „polizia municipale” zainteresuje się namiotem stojącym u kogoś na podwórku (choćby pod Marmoladą).

Należy zadać sobie pytanie czy tej tragedii można było uniknąć? Nie wiem, na pewno złożył się na nią zbieg okoliczności takich jak miejsce biwaku i warunki pogodowe. Ofiary wypadku to nie byli jacyś nowicjusze, tylko ludzie znający góry, doświadczeni, przygotowani



Murek i wanta jako osłona namiotu

fizycznie i sprzętowo do wyjścia w Tatry i biwaku. Zatem czy coś zawiodło, czy czegoś nie dopilnowali, nie przewidzieli? Myślę, że zawsze w podobnych przypadkach natura po prostu przewyższa człowieka. Przecież „od zawsze” giną w wysokich górach alpiniści, himalaiści, ludzie gór o znakomitych kwalifikacjach, wyposażeniu i doświadczeniu.

Dla nas turystów, którzy wybierają namiot zamiast schroniska, ważne jest, by z tej tragedii wyciągnąć odpowiednie wnioski. Zakładam, że każdy, kto decyduje się na biwak w górach, jest do takiego biwaku odpowiednio przygotowany mentalnie i fizycznie oraz sprzętowo. Dotyczy to biwaku w każdym miejscu, nie tylko tych wyższych. Podkreślam frazę „w każdym”. Nieważne czy to Beskid Sudecki, Tatry czy Alpy. Pogoda potrafi tak namieszać, że drobne nawet niedopatrzenie, ominięcie jakiejś niezbędnej w określonych warunkach czynności może popsuć humor w najlepszym przypadku, w najgorszym spowodować nieszczęście. Posłużę się przykładami z moich biwaków w Beskidzie Sudeckim, Tatrach, Beskidzie Żywieckim.

Wspominam do dziś dwa biwaki w Sudeckim, jeden na skraju Barnowskiej Hali, drugi dwa dni później na Przehybie. To był koniec kwietnia, gdy wysiedliśmy z kolegą z pociągu w Żegiestowie- Zdroju. Po wyjściu ponad Żegiestów weszliśmy w śnieg, szliśmy na Pustą Wielką i dalej w słońcu, które wielkiej krzywdy śniegowi nie robiło. Powietrze rześkie, nic tylko iść. Jako że byliśmy po długiej podróży, pierwszy nocleg był w bacówce nad Wierchomlą. Następne miały być z wykorzystaniem namiotu. Drugiego dnia poszliśmy dalej na zachód, minęliśmy Łabowską, a że pogoda sprzyjała, tempo wędrówki było raczej leniwe z długą przerwą „kondycyjno-piwną” w schronisku. Na nocleg wybraliśmy skraj Hali Barnowskiej, nieco poniżej grzbietu, z dala od ewentualnych ciekawskich oczu. Znalezienie kawałka całkiem płaskiego placyku zajęło trochę czasu, wreszcie uklepaliliśmy na śniegu platformę i postawiliśmy namiot. Nic, ale to nic nie wskazywało na zmianę warunków i noc upłynęła w błogim spokoju. Dopiero rano temperatura raptownie skoczyła do góry i zaczął padać ciepły deszcz. Najwyraźniej przywłókł się jakiś ciepły front. Nie minęło pół godziny, a śnieg zamienił się w mokrą „ciapkę”, po czym zaczął znikać, a z góry po zboczach zaczęła płynąć woda. Płynęła całą szerokością zbocza. Grunt rozmiękł i namiot „stracił grunt pod nogami”. To wszystko w pół godziny. Woda z góry, woda z dołu. Czuliśmy się jak w przeciekającej łodzi podwodnej w zanurzeniu. Nie pozostało nic innego jak zwinąć się i cofnąć do schroniska na Łabowskiej, pustego zresztą, co pozwoliło na rozłożenie mokrego namiotu w jadalni i wysuszenie wszystkich mokrych rzeczy.

Dwa dni później na Przehybie poranek był całkiem inny. Przyszedł mróz i wszystko wokół było zamrożone i srebrne. Woleliśmy coś takiego niż „pływanie” w namiocie po zboczach. Tamten mokry biwak to tylko nieprzyjemna przygoda, gorzej było na Wołowcu, gdzie wybraliśmy się powitać Nowy Rok. Namiot, wtedy już „kopułkę”, postawiliśmy w miejscu, które, jak nam się wydawało, było zasłonięte od wiatru. Było, ale nie z każdego kierunku. Wieczór i noc były gwiazdziste, księżyc świecił „jak głupi”, więc po obrzędach powitania Nowego Roku ułożyliśmy się w śpiworach. Byliśmy pewni, że nie wydarzy się nic, co mogłoby zakłócić ciszę i spokój – do czasu. Pierwsze lekkie podmuchy nie robiły wrażenia, jednak wiatr nasilał się i coraz mocniej wgniał ścianki namiotu, wreszcie łomot zrobił się taki, że siedząc obok siebie krzyczeliśmy, żeby się



Tatrzański biwak

porozumieć. Piszę „siedząc”, ponieważ trzeba było plecami podpierać namiot od środka. Stelaż giął się niemiłosiernie, aż wreszcie pękł jeden z prętów. Praktycznie było „po namiocie”. Podobne zdarzenie miało miejsce podczas innego biwaku na grzbiecie sporo mniejszej góry w Beskidzie Żywieckim, ale tym razem nasz namiot wytrzymał, a pękł stelaż u naszych sąsiadów. Biwak założyliśmy na upłazie około 30 m od grzbietu, miejsce wydawało się idealne, zasłonięte od strony, z której zwykle wieje. Jest taka jedna góra w Beskidach znana szczególnie z „wiaterków”. Sąsiedzi rozstawili się może 5 metrów bliżej grzbietu, możliwe, że tam wiało mocniej niż u nas.

Kiedy indziej próbowaliśmy postawić namiot na Pilsku. Najpierw długo krążyliśmy w poszukiwaniu zacisznego miejsca, a gdy namiot już prawie stał, silny podmuch sprawił, że musieliśmy go gonić, bo pofrunął niczym balon.... Do czego zmierzam. **Niezwykle ważne jest możliwie solidne posadowienie namiotu.** Standardowe mocowania namiotów powszechnie dostępnych w sklepach, choćby uznanych producentów, nie wystarczają na ekstremalne warunki. Tego nauczyły mnie namiotowe przygody z wiatrem. Dlatego kolejny namiot wyposażyłem w dodatkowe cztery odciągania doszyte do dołu „sypialni” i dodatkowe cztery doszyte do tropiku. **Ponadto zawsze układam wokół namiotu murek, zimą**

ustawiony ze śnieżnych bloczków, w miejscu bezśnieżnym z kamieni. Gdy stawiam namiot na śniegu staram się miejsce pod namiot zagłębić w śniegu, a nie tylko ubijać platformę. W ten sposób od razu zyskuje się jakąś osłonę, na której stawiamy murek obudowując niejako namiot. Dodatkowo śledzie obkładam ciężkimi kamieniami, by linki szarpane przez wiatr nie wyrwały ich z podłoża. To wszystko, oprócz starannego wyboru miejsca na biwak, co można zrobić, by namiot stał stabilnie i wytrzymał silny wiatr. Wymaga to sporo wysiłku, ale warto się potrudzić. Pamiętajmy, że biwakowanie na odkrytych partiach grzbietowych czy graniowych to zupełnie co innego niż w piętrze lasu, choć i tam może być niebezpiecznie, wszak już nie raz halny powalał całe połacie górskich lasów. Tu „kłania się” (kolejny raz) śledzenie prognoz pogody i dostosowanie się do warunków pogodowych i terenowych. Warto zapytać czy biwak na wysokiej przełęczy w okresie burzowym to dobry pomysł? Niech każdy sam odpowie sobie na to pytanie.

Juliusz Wystouch



W Alpach na 3000 m

Magazyn turystyczno-krajoznawczy

NA SZLAKU

www.na-szlaku.net

**Polub nas
na Facebooku!**

Wypad w Sokole Góry

Tym razem proponuję wypad w Góry Sokole. Położone tak blisko Jeleniej Góry a jednocześnie, ze względu na połączenia komunikacyjne, wcale nie tak łatwo dostępne. Najlepiej skorzystać z połączenia kolejowego i udać się do Janowic Wielkich lub Trzcianka. Ja jednak chciałem zaproponować znacznie łatwiejszy sposób dostania się w omawiany rejon, czyli dojazd własnym samochodem. Jest to o tyle wygodne, że tuż przy drodze utworzono kilka parkingów, na których można pozostawić swoje auto. Istnieje także możliwość podjechania aż pod samo schronisko „Szwajcarka”, gdzie także znajduje się płatny parking. Nie jest to jednak opcja dla osób posiadających samochody osobowe. Droga jest wymagająca, sporo na niej wystających kamieni i korzeni. Zatem, kto dysponuje terenówką, może pokusić się o podjechanie pod schronisko, kto posiada zwykły samochód, pozostawia go na jednym z parkingów usytuowanych przy drodze.

Góry Sokole to niewielki powierzchniowo obszar, na którym znajduje się niezwykle dużo walorów krajoznawczych. Są to przede wszystkim miejsca widokowe, z których możemy podziwiać krajobraz otaczający te góry. Jest to mnogość szlaków turystycznych jak i dróg oraz ścieżek leśnych. Nic dziwnego, że zaraz po przybyciu w te strony wybitny znawca naszych gór (oczywiście wtedy jeszcze nie) Tadeusz Stec zauroczony tymi niewielkimi górami został pierwszym gospodarzem uruchomionego przez Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze schroniska. Prowadził je wspólnie z matką.

Wszyscy uważają, że Góry Sokole to dwa stożkowe wzniesienia widoczne z daleka. Są to Sokolik o wysokości 642 metry n. p. m. i Krzyżna Góra o wysokości 654 metry. Nie do końca jednak tak jest. Góry Sokole położone na północno-zachodnim krańcu Rudaw Janowickich to 6 wzniesień. Oprócz dwóch już wspomnianych szczytów, o których ze względu na ich kształt potocznie mówi się Biust Lollobrigidy, są to: najniższy Buczek (456 metrów) wznoszący się ponad Wojanowem i Bobrowem, Łysa (490 metrów), która zamyka przełom Bobru pomiędzy Bobrowem i Trzcianką oraz bliźniacze kulminacje Rudzika (500 metrów) i Browarówki (510 metrów). Dwie ostatnie, ze względu na ich kształt przypominający najwyższe wzniesienia, nazywane są Małymi Sokolikami.

Po zostawieniu samochodu na parkingu ruszamy leśną drogą pod górę, by po kilkudziesięciu minutach spokojnego marszu dotrzeć do położonego na rozległej polanie schroniska PTTK o nazwie „Szwajcarka”. Pierwsze co rzuca się nam w oczy to wysoka na 20 metrów lipa drobnolistna – pomnik przyrody o obwodzie pnia ponad 400 cm.

Obecne schronisko zostało zbudowane w 1823 roku w trakcie realizacji rozległego założenia parkowego otaczającego zamek w Karpnikach, który nabył książę Wilhelm. Za wzór przy jego budowie wzięto budynek stojący na Wyżynie Berneńskiej w Szwajcarii. Parter zajmował leśniczy, a na piętrze urządzono gabinet myśliwski, tam też zbudowano kominek. Gdy rozpoczął się ruch turystyczny, na parterze otworzono gospodę. Cały czas był to obiekt bez noclegów. Te zapewniono dopiero po przejęciu go przez PTTK. Początkowo było to niewiele miejsc noclegowych. Później, dzięki postawieniu na polanie drewnianych domków, ich liczba wzrosła do około 60. Kolejne miejsca noclegowe powstały w drugim



budynku zwanym wówczas stajenką. Dzisiaj liczba miejsc noclegowych jest nieco niższa, ale istniejące warunki pozwalają na rozbiście namiotów.

Początkowo to właśnie tutaj znajdowała się główna baza osób interesujących się wspinaczką. Obecnie w okolicy znajduje się wiele ośrodków szkolących wspinaczy. Prawda jest taka, że w zasadzie wszyscy znani himalaisci właśnie tutaj zaczęli swoje kariery.

„Szwajcarka” to także miejsce, do którego przybywają miłośnicy poezji górskiej. Organizowane jest tutaj tzw. „Szwajcarkowe granie”. Są to wieczory, podczas których występują ciekawe zespoły prezentujące piosenki najczęściej słuchane w górach, ale nie tylko, można także posłuchać szant.

Po odpoczynku w schronisku idziemy pnąc się pod górę ścieżką, po której prowadzą szlaki turystyczne niemal wszystkich kolorów (czerwony, zielony i czarny). Dlatego należy się spodziewać, że ruch turystyczny będzie spory. Pierwszym obiektem, przy którym warto się zatrzymać, są Husyckie Skały. Może od strony naszego podejścia nie zrobią na nas specjalnego wrażenia, ale gdy spojrzymy z nich na drugą stronę w znajdującą się tam przepaść, na pewno będziemy zaskoczeni. Na pewno zaskoczeni byli husyci, którzy uciekając z zamku Sokolec w 1434 roku pomylili w mgłę drogę i spadli w 20-metrową przepaść, ponosząc śmierć. To właśnie od tego wydarzenia powstała nazwa tych skałek.

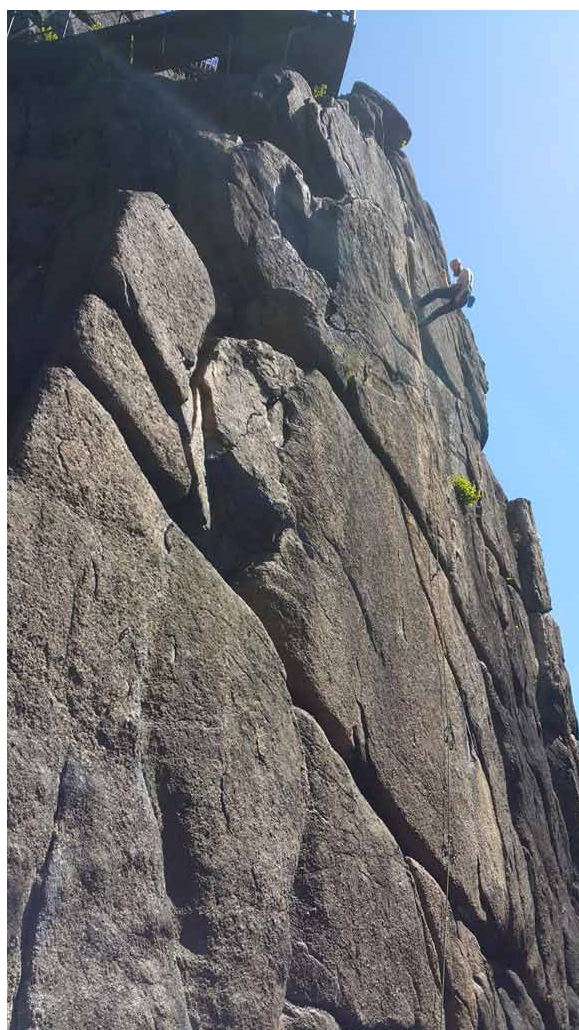
Nie zawsze jednak stosowano obecną nazwę. W czasach, kiedy lubowano się w nadawaniu nazw dla takich obiektów postaci historycznych, miejsce to znane było jako skałki księcia feldmarszałka Gebharda Leberechta von Blüchera, który pokonał Napoleona pod Lipskiem. Umieszczono wówczas na dużym głazie tablicę z jego nazwiskiem i datę 1813, a wyżej żeliwnego orła zrywającego się do lotu. Dzisiaj, niestety, poza barierkami nic już z tych napisów nie pozostało. Warto jednak, stojąc przy barierce, spojrzeć przed siebie, by zobaczyć Sokolik i wspinających się po jego ścianach przyszłych himalaistów.

Teraz proponuję udać się czarnym szlakiem na Krzyżną Górę. Dlaczego akurat tak? - już wyjaśniam. Otóż gdybyśmy najpierw poszli na Sokolik, a dopiero w drodze powrotnej zdecydowali się na to wejście, na pewno zrezygnowalibyśmy. Zmęczenie po wdrapaniu się na Sokolik zniechęciłoby nas do kolejnej wspinaczki. A tak nie będziemy mieć problemu z ewentualnym podjęciem decyzji o pominięciu tego ciekawego miejsca.

Zanim dotrzemy na szczyt, czeka nas podejście, które da się nam we znaki. Na pewno poczujemy zmęczenie. Dlatego warto podejść do miejsca z ustawionymi ławeczkami, by tam trochę odpocząć. Przy okazji możemy zaznajomić się z treścią ustawionych tam tablic informacyjnych. Warto to zrobić, by dowiedzieć się, co tak właściwie widzimy. Po odpoczynku schodzimy ze szlaku i idziemy dobrze widoczną ścieżką wprost do miejsca, w którym zobaczymy resztki istniejącego tu kiedyś zamku o nazwie Sokolec. Co prawda niewiele się z niego zachowało, ale zobaczymy kilka fragmentów murów, a to wystarczy nam, by wyobrazić sobie, jak niewielki był to obiekt. W dawnych czasach warownia ta była trudna do zdobycia, więc mieszkający tu rycerze mogli czuć się w miarę bezpiecznie. Jednak do czasu.

Tak na dobrą sprawę do dziś nie wiadomo, kiedy ten obiekt powstał. Według badań przeprowadzonych w latach 60-tych XX wieku jego założenie przypisuje się Henrykowi Brodatemu. Z kolei według badań z początku XX wieku początki osadnictwa w tym miejscu cofają nas do VII wieku. Dla nas ważniejszym wydaje się legenda mówiąca o tym, że podczas swojej podróży książę Henryk wypatrzył gniazdo sokoła i właśnie to sprawiło, że ten niewielki, przyklejony do Zamkowych Skał obiekt zaczęto nazywać Sokolec.

Tak naprawdę zamek datowany na 2. połowę XIV wieku często zmieniał swoich właścicieli. W historii jednak najczęściej wspomina się o Hansie von Tschirnie z Płoniny, który był zwolennikiem ruchu husyckiego. Gdy jednak popadł w niewolę, zdecydował się ich zdradzić. W 1434 roku zaprosił na



zamek dwóch dowódców ruchu husyckiego i uwięziwszy ich, wydał w ręce biskupa wrocławskiego. Oczywiście czyn taki spotkał się z odwetem i zniszczeniem zamku. Hans wraz ze swoim synem Konradem w 1410 roku brał udział w bitwie pod Grunwaldem. Walczył jednak po stronie Krzyżaków.

W późniejszym czasie zamek stał się siedzibą rycerzy-rozbójników i ostatecznie podczas walk toczonych o tron czeski Maciej Korwin nakazał jego całkowite zburzenie.

To jednak nie koniec historii tej warowni. Dla dzisiejszych poszukiwaczy skarbów ta historia dopiero wtedy się zaczyna. Otóż legenda głosi, że do ruin zniszczonego zamku wybrał się niejaki Stefan z Giecza, który miał nadzieję na odnalezienie ukrytych tam przez rozbójników skarbów. Tak też się stało, znalazł on sporych rozmiarów złoty kielich. Kiedy zadowolony ze znaleziska chciał wracać, zobaczył osła. Zwierzę chwyciło w zęby ów kielich, odkładając go na miejsce, w którym do tej pory był ukryty. W zamian przyniosło sporych rozmiarów złotą kulę. Niestety, Stefan okazał się tak chciwym człowiekiem, że zabrał zarówno złotą kulę jak i schowany z powrotem przez osła kielich. Mało tego, zabrał także osła, wykorzystując go do transportu swoich zdobyczy. Niestety, ciężar złota był tak duży, że osioł padł. Zasmucony Stefan, chcąc w jakiś sposób naprawić krzywdę wyrządzoną zwierzęciu, przetopił wszystko i odlał figurę osła. Gdy podziwiał złoty odlew, nagle rozległ się głos: „Mimo ostrzeżeń przetopiłeś Złotego Grala, kielich użyty przez Jezusa podczas ostatniej wieczerzy. Będziesz za to potępiony po wsze czasy”. W momencie, gdy pojął co uczynił, złota figura osła zapadła się pod ziemię, a on sam został przemieniony w kamień. Wygląda zatem na to, że poszukiwacze Złotego Grala szukają nie tam, gdzie powinni.

Zostawiając jednak zamek, wracamy do czarnego szlaku i po wykutych w skałach stopniach wchodzimy na platformę widokową na Krzyżnej Górze. Początkowo ulubione miejsce odpoczynku księżnej Marianny żony księcia Wilhelma, właściciela okolicznych dóbr nosiło nazwę „Tron Księżniczki”. Podczas jej pobytu wywieszano widoczną z daleka flagę. Później na polecenie księżnej ustawiono żeliwny krzyż odlany w królewskiej hucie w Gliwicach. Ponieważ ważył on w całości 2 tony, składa się z kilku elementów zmontowanych na miejscu. Krzyż ma około 7 metrów wysokości i ponad 5 metrów rozpiętości ramion. Na poświęconym w 1832 roku krzyżu księżna kazała umieścić napis: „Błogosławieństwo Krzyża nad Wilhelmem, jego potomstwem i całą doliną”.

Nasyciwszy oczy widokami z tego niezwykłego miejsca, aby przejść na następny punkt naszej trasy, musimy najpierw zejść z powrotem do Husyckich Skał. Niby jest to moment ale musimy wziąć poprawkę na stromość zejścia. Zwłaszcza po opadach. Nie należy się spieszyć, trzeba iść powoli i bardzo ostrożnie. Gdy już uda nam się dojść do przełęczy, ruszamy za znakami czerwonymi, by pokonując liczne zakosy dotrzeć pod Sokolik mający 642 metry n. p. m. Dla niewprawionych turystów od razu mówię, że będzie to niezłe wyzwanie. Mimo bowiem, że nie jest to stosunkowo długa trasa, jest ona bardzo wymagająca. I na pewno większość z idących w tym kierunku spoci się zanim dotrze do celu. Warto jednak podjąć ten trud. Widoki bowiem z platformy widokowej znajdującej się na skale zapierają dech w piersiach. Widać stamtąd wijącą się wstęgę Bobru płynącego poniżej. Nie mniej ciekawymi są widoki na Kotlinę Jeleniogórską i otaczające ją pasma górskie. Może ciekawostką będzie fakt, że dawniej z platformy widokowej na Sokoliku Dużym była przewieszona drewniana kładka prowadząca na sąsiednią skałę – Sokolik Mały, na której dzisiaj poprowadzono wiele dróg wspinaczkowych. Zainteresowanie tymi drogami, mimo niewielkiej wysokości, jest niezwykle duże. To tutaj swoje pierwsze kroki w górskiej karierze stawiała Wanda Rutkiewicz.

Może nie wszyscy o tym wiedzą, ale do 1945 roku na szczycie znajdowała się tzw. puszcza szczytowa z umieszczonym w niej notesem i ołówkiem. Pozwalało to osobom, które tu dotarły, wpisanie się do zeszytu a także podzielenie się z innymi swoimi wrażeniami z wędrowki. Niestety, po II wojnie światowej zwyczaj ten zaginął.

Jeśli chodzi o samo udostępnienie skałki to są dwie wersje. Pierwsza mówi o wykuciu stopni w skałach i zbudowaniu drewnianych schodów i pomostów w 1885 roku przez Riesengebirgsverein, druga przypisuje ich wykonanie właścicielowi dóbr w Maciejowej.

Nieważne jednak kiedy powstały ułatwienia w wejściu na platformę widokową. Cieszymy się widokiem, jaki z niej się rozpościera. Pamiętajmy jednak o tym, że jest to miejsce bardzo wietrzne i czasami wiejący wiatr uniemożliwia nam dłuższy pobyt.

Po odpoczynku udajemy się w stronę schroniska „Szwajcarka”, by tam zakończyć naszą wycieczkę. Myślę, że cała opisana trasa nie sprawi większego kłopotu i większość z nas jest w stanie ją przejść bez specjalnych problemów.

Krzysztof Tęcza

Zamek Muráň

Według popularnej w całym Gemerze legendy (a wszak w każdej legendzie jest ziarnko prawdy...) kapitan (czyli kasztelan) murańskiego grodu zakochał się na zabój w pięknej Cygance z taboru koczującego u stóp zamkowej góry. Nie bacząc na przestrogi, wkrótce się z nią ożenił. Kiedy jednak z racji obowiązków większość czasu spędzał na ćwiczeniach i wyprawach wojennych, samotna młoda żona coraz częściej zaczęła urządzać na zamku huczne zabawy z udziałem wojskowej załogi, a szczególnymi względami obdarzyła młodego porucznika. W końcu usłużne usta doniosły o wszystkim kasztelanowi. Do decydującej rozmowy między nim a żoną miało dojść na zamkowych murach nad największym urwiskiem zamkowej skały. Zazdrosny kasztelan, ogarnięty przyływem szaleństwa, strącił żonę w przepaść. Od tego czasu spiętrzenie wieńczące wapienną ostrogę Płaskowyżu Murańskiego wznoszące się nad wsią Muráň nosi nazwę Cigánka (935 m).

Wapienny Płaskowyż Murański (słow. *Muránska planina*) według polskiego podziału Karpat Jerzego Kondrackiego stanowi część Rudaw Gemerskich w Wewnętrznych Karpatach Zachodnich. Masyw Cigánki, dający wgląd w dolinę rzeki Muráň, posiadał znakomite walory obronne, dlatego też w połowie XIII w., zapewne tuż po najeździe tatarskim, rozpoczęto wznosić tu zamek obronny. Najstarsza wzmianka o nim pochodzi z 1271 r., kiedy król węgierski Stefan V darował go komesowi Mikołajowi Gunicowi. Około roku 1430 zamek wrócił w ręce królewskie. W 1440 r. Elżbieta Luksemburska, wdowa po Albrechcie II Habsburgu, broniąc praw do tronu dopiero co urodzonego Władysława Pogrobowca, przekazała zamek w ręce swego kondotiera, Czecha Jana Jiskry, który znacznie go umocnił. Jego „bratrzykowie” bronili się w nim przeciwko wojskom Macieja Korwina do 1462 r.

Krótko przed rokiem 1500 król Władysław II Jagiellończyk nadał zamek swemu palatynowi Stefanowi Zápolyi, od którego przejął go Jerzy Tornały. Po śmierci tego ostatniego zamek odziedziczył jego czteroletni syn Jan, którego opiekunem prawnym został niejaki Matej Bašo – chyba najciemniejsza postać w dziejach zamku. Bašo wysłał młodego Jana na wychowanie do Polski na dwór hetmana wielkiego koronnego Jana Amora Tarnowskiego (skąd ten już nigdy nie powrócił). Po tym mógł już bezkarnie budować swoją potęgę najbardziej bezwzględny raubritter w szesnastowiecznych Węgrzech. Do spisania jego zbrojeckich wyczynów nie starczyłoby wołowej skóry, a co dopiero łamów „Na Szlaku”! Dość powiedzieć, że to on właśnie wypalił Lewoczę i wyrabował m. in. słynną „Skałę schronienia” (*Lapis Refugii*) – klasztor kartuzów na Klasztorzysku w Słowackim Raju.

W 1548 r. król Ferdynand Habsburg nakazał zdobyć zamek i uwięzić bandziora. W następnym roku, po długotrwałym ostrzale artyleryjskim, dokonały tego zaciężne oddziały hiszpańskie. Bašo zdołał się wymknąć tajnym wyjściem. Cóż z tego, skoro następnej nocy został rozpoznany przez pasterzy, u których zatrzymał się na nocleg. Związanego dostarczyli oni w ręce dowodzącego operacją



Zamek murański na skale Cigánka (ze wsi Muráň)

hr. Mikołaja von Salm. Wyrok wykonano bezzwłocznie...

W wyprawie przeciwko Baży uczestniczył niejaki Martin Bošňák (właściwie Marek Bošňák, węg. Bosnyák de Rudnyák), który potem wszystko opisał w *Pieśni o Zamku Murańskim*. Uznawana jest ona za jeden z pierwszych epickich utworów wierszowanych powstałych na ziemiach słowackich, zaś jej autor za jednego z pierwszych renesansowych poetów słowackich. Z potomkami owego poety być może spotkamy się jeszcze przy okazji wycieczek do innych słowackich zamków!

Kolejni właściciele Murania znacznie go rozbudowywali. Z czasem objął on teren o wymiarach 360 x 90 m. Na obszarze ok 3 ha otoczonym murem z licznymi basztami, którego przebieg ściśle odwzorowuje ukształtowanie terenu, znajdował się pałac mieszkalny, budynki służby i załogi wojskowej, magazyny żywności i uzbrojenia, warsztaty, stajnie dla koni, cysterny na wodę (zamek nie miał studni), a nawet ogród. Dostęp prowadził wąską drogą wijącą się po stoku góry, jednak wozy nie były w stanie wjechać na sam zamek. Większe ładunki dostarczano tam przy pomocy wyciągu linowego zainstalowanego w jednej z baszt.

Wśród ówczesnych właścicieli i mieszkańców zamku było wielu takich, o których obszernie piszą podręczniki historii. Ba! Byli i tacy, którzy swymi dokonaniem sami byliby w stanie zapisać karty niejednej książki! W 1612 r. zamek kupił za 100 tys. złotych florenów Tomasz Szécsi, żupan Gemeru. Po dokonanej przez niego przebudowie cały zespół nabrał cech renesansowych. Do legendy – i do literatury przeszła wnuczka Tomasza, Maria, znana jako „Murańska Wenus” (słow. *Muránska Venuša*). Piękna, mądra, odważna, wsławiła się tym, że jako 22-letnia kobieta była już dwukrotnie zamężna, obroniła zamek Déva oblegany przez... jej własnego męża, a do tego udało jej się później z nim rozwieść! Już w czasie swego pierwszego małżeństwa była związana z Franciszkiem Wesselényim, z którym zawarła związek małżeński w 1644 r., wnosząc mu w wianie zamek Murań.

Następne lata były złotym okresem w dziejach zamku, który został już wtedy przebudowany w stylu barokowym. Stale obecna była tu poezja, muzyka i sztuka. Gdy Wesselényi został palatynem Węgiei (1655), a wkrótce uzyskał tytuł hrabiowski, Maria zyskała godność drugiej damy królestwa, a ich gośćmi bywali najważniejsi dostojnicy korony. Niestety, udział Wesselényiego w spisku antyhabsburskim przeciwko absolutyzmowi cesarza Leopolda (tzw. *spisek Wesselényiego*) wykrytym w 1666 r., doprowadził do oblężenia zamku przez wojska cesarskie. Maria dzielnie broniła się przez trzy lata, jednak w końcu musiała się poddać, czego następstwem była konfiskata zamku w 1670 r. przez Komorę cesarską. „Murańska Wenus”



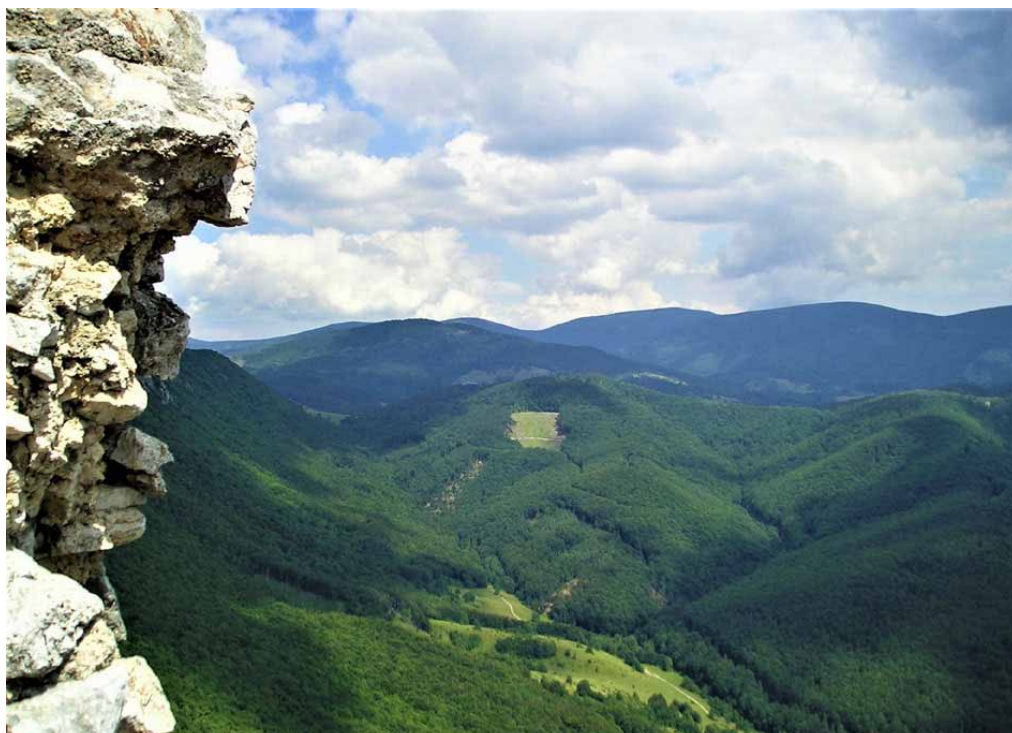
Schronisko (Chata Zámok pod Muránskym hradom)



Brama wejściowa

po latach internowania w Wiedniu zmarła w 1679 r.

W następnych latach zamek dwukrotnie (1678, 1683) zajmowali kurucowie Emeryka Thököly'ego, ale po porażce popierającego Turków pod Wiedniem z ręki Jana III Sobieskiego ostatecznie wrócił on do rąk cesarskich. Do niechybnych zniszczeń z czasów oblężenia doszedł wielki pożar z 1702 r., który zniszczył wszystkie zabudowania zamkowe. Wprawdzie w kilka lat później część z nich odbudowano, a zamek przez pewien czas służył powstańcom Franciszka II Rakocze-go, jednak był to już kres jego znaczenia.



Widok z zamku na Góry Stolické

W 1720 r. cesarz Karol IV darował zamek „po wieczne czasy” Stefanowi Koháry'emu. Ponieważ ten nie miał męskiego potomka, zamek przypadł jego córce Marii Antonii, która wniosła go w 1816 r. w posagu swemu mężowi Ferdynandowi Jerzemu, księciu Saksonii-Coburg-Saalfeld i Gothy. Na marginesie, byli oni rodzicami późniejszego króla Portugalii Ferdynanda II i dziadkami późniejszego cara Bułgarii Ferdynanda I. Państwo Coburgowie sami, rzecz jasna, w zamku nie mieszkali. Ostatnim mieszkańcem zamku był zasłużony żołnierz węgierski, który żył tu jeszcze w 1820 r. w wieku 84 lat. Ostatnia budowla nakryta dachem stała tu jeszcze w połowie XX w.

Pod sam zamek nie da się dojechać. To znaczy: da się dojechać wąską asfaltówką ze wsi Murań (słow. *Muráň*) i sama jazda nią głęboko zapada w pamięć, ale ponieważ cały Płaskowyż Murański objęty jest parkiem narodowym (*Národný Park Muránska planina*), a samo wzgórze zamkowe dodatkowo chronione w rezerwacie przyrody Cigánka, droga jest zamknięta dla ruchu publicznego. Najkrótsze (ale strome, 540 m różnicy poziomów!) dojście wiedzie czerwonym szlakiem ze wspomnianej wsi Murań (1 h 45). Nieco dłuższe – ze wsi Muránska Huta za znakami czerwonymi, a od rozległych polan zwanych Veľká lúka niebieskimi (2 h). To drugie jest znacznie łagodniejsze (o 300 m podejścia mniej!), a do tego na owej Wielkiej Łące często można oglądać stada swobodnie pasących się koni tutejszej rasy *murański norik*. Trzecie dojście – to wspomniany szlak niebieski od samej przełęczy Javorinka (2 h 20), zupełnie bez podejść (temat dla rowerzystów!).

Podejście do zamkowej bramy (kilkadziesiąt metrów do góry!) wiedzie wąskim grzbietem od strony północno-wschodniej. Stoi na nim obelisk poświęcony zmarłemu w 1881 r. księciu Augustowi Coburgowi z 1883 r. Bez mała całą szerokość tego grzbietu zajmuje dawna leśniczówka z II połowy XIX w., w której mieścił się kiedyś zarząd rozległych leśnych majątków Coburgów, a częstym gościem bywał tu wspomniany car Bułgarii Ferdynand I. W II połowie XX w. jej właścicielem była kopalnia magnezytu w niedalekim Lubeníku, a obecnie działa w niej prywatne schronisko „Chata o turystycznym standardzie” (problem: brak wody!), czynne wszakże jedynie po wcześniejszym zgłoszeniu.

Sama brama, częściowo odbudowana, jest dziś jedynym zadaszonym obiektem zamku. Poza tym zachowały się jedynie fragmenty murów pałacu i kilku innych budynków z kilkoma fragmentami detali architektonicznych i dosłownie jednym fragmentem sgraffita. Od 1980 r. trwały tu (z przerwami) prace porządkowe i zabezpieczające. W 2005 r. poza rekonstrukcją bramy wzmocniono również fragmenty muru obronnego, budując przy nim dwa podesty widokowe. A widoki są stąd cudowne! Poza bezludnym obszarem Płaskowyżu Murańskiego obejmują równie dla nas nieznaną partię Rudaw Słowackich od Fabovej holi (1439 m) na zachodzie po Stolice (1476 m) na wschodzie.

Miroslaw J. Barański
Fot. Ryszard Kosarewicz

Źródło Aretuzy w Syrakuzach

Ci, którzy byli w Syrakuzach i zawitali na wyspę Ortygię będącą najstarszą częścią tego wspaniałego starożytnego greckiego miasta, mieli zapewne okazję zobaczyć ogrodzone metalowym płotem ujęcie niewielkiego źródła porośniętego papirusem, w utworzonym z jego wód niewielkim stawku pływają sobie kaczki całkowicie nieświadome faktu, w jak ważnym i sławnym miejscu przyszło im żyć.

To niepozorne źródło to słynna Aretuza uwieczniona w wielu greckich mitach i współczesnych nam wierszach i poematach.

Według wierzeń starożytnych Greków każdą rzekę lub źródło zamieszkiwały nimfy zwane najadami, były one symbolem boskości tych wodnych cieków. Homer twierdzi, że były one córkami samego Zeusa, inni greccy mitografowie uważali, że owe wodne nimfy były córkami bogów rzek lub pochodziły od Okeanidów.

W Arkadii na Peloponezie jest rzeka, która zwie się Alfejos, jej nazwa pochodzi od boga, który był jej władcą i opiekunem, ów bóg ponoć był synem bogini Tetydy i boga Okeanosa.

Alfejos był zadurzony w bogini Artemidzie, ta jednak gardziła wszelaką miłością, więc zaloty Alfejosa pozostawały niezauważane przez oziębłą boginię. Żył więc on w swojej rzece, ale często miał przyjemność spotykać Artemidę, ale nic nie wychodziło z jego zalotów, był stale odtrącany. Stało się tak, że towarzyszką polowań Artemidy została pewna najada o imieniu Aretuza, ona również, jak jej pani, gardziła miłością i oddawała się polowaniom.

Pewnego dnia, gdy upał doskwierał niemiłosiernie, Aretuza znalazła się u brzegów rzeki Alfejos. Postanowiła odpocząć, by nabrać sił do dalszych polowań. Weszła do wody i gdy tak się relaksowała, zauważył ją sam Alfejos. Długo przyglądał się pięknej dziewczynie, a im dłużej to czynił, tym większe podniecenie go ogarniało i większa chęć, aby posiadać piękną najadę.

W pewnym momencie Aretuza odwróciła głowę i zobaczyła patrzącego na nią z ogromnym pożądaniem boga rzeki. Biedna wpadła w przerażenie, wyskoczyła na brzeg i zaczęła uciekać, ale Alfejos postanowił ją gonić i na brzegu. Wyskoczył z rzeki i zaczął biec za Aretuzą, ta jednak zaprawiona w polowaniach była wytrwałą biegaczką i nie pozwalała się zbliżyć podnieconemu bogu do niej na bliską odległość. Ten jednak nie ustępował i dalej gonił najadę. W pewnym momencie Aretuza poczuła, że opuszczają ją siły i że za chwilę stanie się zdobyczą Alfejosa, zaczęła więc modlić się i wzywać na pomoc swoją opiekunkę Artemidę. Wreszcie bogini przybyła i chcąc ochronić swoją podopieczną, otoczyła ją chmurą, ale Alfejos wbiegł w nią i zaczął szukać dziewczyny. Aretuza z wysiłku i z emocji cała zalała się potem tak, że wokół niej powstało jezioro. Artemida widząc, że sytuacja jest bardzo niebezpieczna dla dziewczyny, interweniowała powtórnie i zrobiła w ziemi szczelinę, do której wpłynęła woda zabierając ze sobą najadę. Wpływając w głąb ziemi, połączyła się z podziemną rzeką i popłynęła wraz z Aretuzą w kierunku Sycylii na leżącą u jej brzegów wysepkę Ortygię. Alfejos był najpierw zdezorientowany tym, co się przed chwilą wydarzyło, ale postanowił, że sam popłynie na wyspę, rzucił się więc w morską otchłań i dopłynął do brzegu. Na wyspie zastał już najadę, gdy Aretuza zobaczyła zalotnika, zamieniła się w źródło i w tej postaci istnieje jak widać do dnia dzisiejszego.

O losach Aretuzy i Alfejosa piszą w swoich dziełach starożytni pisarze tacy jak: Owidiusz czy też Pauzaniusz, jest wiele wersji tego mitu, ale wszystkie sprowadzają się do jednego, to najada Aretuza wypływa do dziś z wnętrza ziemi w Syrakuzach.

Będąc w tym wspaniałym starożytnym mieście, warto odwiedzić to w sumie niepozorne miejsce, co też zrobiłem w czasie mojej ostatniej sycylijskiej wędrowki.

Grzegorz Wojciechowski



Źródło Aretuzy w Syrakuzach

Wizyta w obiektach zaliczanych do „Sudeckiego Gwarka Walońskiego”

Gdy na mocy porozumienia pomiędzy Sudeckim Bractwem Walońskim a Oddziałem PTTK „Sudety Zachodnie” powstał regulamin nowej regionalnej odznaki krajoznawczej „Sudecki Gwarek Waloński”, nikt nie spodziewał się, że spotka się ona z tak dużym zainteresowaniem.

Sama odznaka, którą można weryfikować i nabywać w biurze PTTK w Jeleniej Górze, ustanowiona została w dwóch stopniach: srebrnym i złotym. Aby zdobyć pierwszy stopień, należy odwiedzić z listy umieszczonej na stronie internetowej PTTK cztery obiekty położone w Sudetach Zachodnich i Środkowych oraz trzy w Sudetach Wschodnich, w sumie siedem. Na drugi stopień trzeba zwiedzić pozostałe z 19 obiektów biorących udział w akcji. Tak więc, aby zdobyć odznakę w stopniu srebrnym, wystarczy odbyć dwie wycieczki. Nie jest więc to odznaka nadmiernie obciążająca czasowo ewentualnych zdobywców. Jest jednak dosyć wymagająca, gdyż na liście obiektów znajdują się liczne sztolnie i kopalnie, czyli obiekty, w których temperatura z reguły wynosi 7-8 stopni Celsjusza. Trzeba więc odpowiednio przygotować się do ich zwiedzania.

Warto jednak podjąć ten trud, gdyż dzięki takim wycieczkom możemy poznać zarówno historię kopalnictwa na Dolnym Śląsku jak i dowiedzieć się wielu cennych, czasem zaskakujących informacji z dziedziny mineralogii.

Oczywiście każdy z obiektów jest inny. Mimo pobieżnych podobieństw różnią się one w sposób zasadniczy. Wynika to zarówno ze sposobu ich zagospodarowania jak i tego, co z danych obiektów zachowało się do dnia dzisiejszego i co jest udostępniane. Nie wszystko bowiem, ze względów bezpieczeństwa, można udostępniać szerokiej publiczności. Są miejsca, w które wpuszcza się tylko wybrane osoby, np. studentów i wykładowców uczelni prowadzących badania naukowe.

Ponieważ od pewnego czasu, w związku z panującą na całym świecie epidemią, wprowadzono liczne utrudnienia, obiekty turystyczne zostały praktycznie unieruchomione i przez dłuższy czas nie mogły prowadzić swojej działalności. Oczywiście odbiło się to na stanie ich finansów. Żadna firma pozbawiona przychodów nie jest w stanie normalnie funkcjonować. Dlatego, praktycznie wszystkie obiekty biorące udział w programie, cieszą się z poluzowania restrykcji. Widząc jakieś możliwości, podejmują działania mające na celu uratowanie ich przed bankructwem.

I właśnie ze względu na tą trudną sytuację finansową przedstawiciele Sudeckiego Bractwa Walońskiego i PTTK zorganizowali podróż określaną jako wizyta partnerska, by porozmawiać o trudnościach firm związanych z ich bieżącą działalnością, o tym jak można temu zaradzić i o tym jak możemy sobie wzajemnie pomagać. W podróży uczestniczyli Arkadiusz Wichniak prezes Sudeckiego Bractwa Walońskiego, Waldemar Ciołek członek zarządu SBW i Krzysztof Tęcza prezes Oddziału PTTK „Sudety Zachodnie”. Od razu powiem, że cała podróż była podróżą prywatną, czyli finansowaną przez jej uczestników.

Generalnie wszystkie rozmowy dotyczące kłopotów, z jakimi mierzą się poszczególne podmioty, potwierdziły ich trudną sytuację finansową. Zarządcy poszczególnych firm, starając się utrzymać



zatrudnienie na dotychczasowym poziomie, korzystają z dostępnych programów pomocowych oferowanych przez państwo. Nie wszyscy jednak, ze względu na zawarte w regulaminach zasady, mogą z nich skorzystać. Część firm zmniejszyła stan załogi, korzystając z większego zaangażowania pracowników, co skutkowało tym, że ich firmy wciąż funkcjonują. W największych kłopotach znajdują się firmy, które tuż przed epidemią zainwestowały w nowe ekspozycje czy nowe sposoby prezentowania obiektów. Muszą bowiem teraz spłacać zaciągnięte kredyty. Aby uzmysłowić stan zapaści podam tylko, że frekwencja turystyczna w odwiedzonych obiektach w stosunku do ubiegłego roku wynosi obecnie od 20 do 45 %. A przecież niektóre z firm zatrudniają kilkudziesięciu pracowników.

Obecnie, dzięki niewielkiemu poluzowaniu warunków sanitarnych, turyści ponownie zaczęli odwiedzać te miejsca. Nie jest to jednak jakiś skok lawinowy. Oczywiście wszystko zależy od pogody, bo gdy pada deszcz, to spacerujący po górach schodzą niżej i odwiedzają takie obiekty jak dawne kopalnie. Niestety, z reguły są to turyści indywidualni. Ilość wycieczek autokarowych spadła niemal do zera. Można je policzyć na palcach jednej ręki.

Ważne jest, że w ogóle turyści się tu pojawiają. A po reakcjach, jakie widzieliśmy, gdy wspólnie z grupami oglądaliśmy poszczególne obiekty, nasze zadowolenie sprawia fakt, że oceniają oni bardzo pozytywnie zarówno sposób oprowadzania, zabezpieczenia warunków zdrowotnych czy kompleksowego potraktowania przyjmowania gości. Bo samo zwiedzanie to nie wszystko, przecież turyści chcieliby nabyć jakieś materiały promocyjne, chociaż te z reguły otrzymują za darmo, ale chcieliby także odpocząć i coś zjeść. To wszystko jest im zapewnione i to na dosyć wysokim poziomie. A ceny wcale nie szybują tak jak te pokazywane znad Bałtyku. Ogólnie koszty pobytu w tych ośrodkach nie wzrosły tak, by budziły jakieś oburzenie. Do tego każdy obiekt ma system ulg. Z reguły ma bezpłatne parkingi, co jak wiemy, nie jest bez znaczenia.

My, jako przedstawiciele „Sudeckiego Gwarka Walońskiego”, staramy się zapewnić jak najlepsze warunki zdobywania odznaki dla przeciętnego turysty, ale także czynimy starania, by w jak największym stopniu rozreklamować poszczególne obiekty biorące udział w programie. Myślimy o wspólnej reklamie, gdyż każdy obiekt posiada swoje materiały informacyjne. Możliwe, że w niedługim czasie powstanie profesjonalny film przybliżający zarówno „Sudeckiego Gwarka Walońskiego” jak i poszczególne obiekty umieszczone w regulaminie tej ciekawej odznaki.

Dodam tylko, że odznaka „Sudecki Gwarek Waloński” coraz częściej jest brana pod uwagę przy różnego rodzaju pobytach turystycznych na Dolnym Śląsku. Do tej pory stopień srebrny odznaki zdobyło już 12 osób, a stopień złoty 3 osoby. Jak na krótki czas istnienia odznaki oraz warunki, jakie trzeba spełnić podczas jej zdobywania, jest to bardzo dobry wynik.

Aby przybliżyć obiekty uwzględnione w regulaminie zdobywania „Sudeckiego Gwarka Walońskiego”, podam krótkie opisy miejsc, które zostały odwiedzone podczas pierwszej podróży partnerskiej w dniach 8-9 lipca 2020 roku.

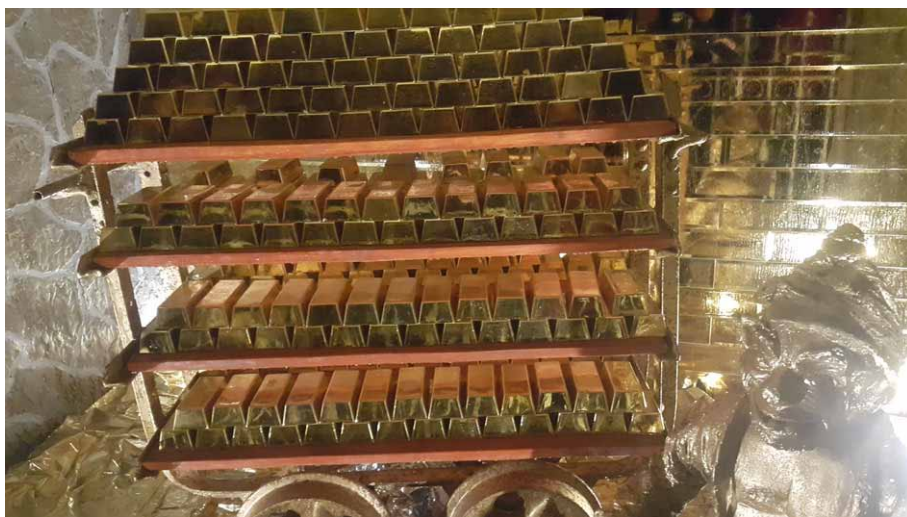
CKK „Witold” powstało w ramach projektu „Adaptacja budynku nadszybia z wieżą wyciągową na Centrum Kulturalno-Kongresowe „Witold” przy ulicy Traugutta w Boguszowie-Gorcach”. Dzięki temu przedsięwzięciu zachowano obiekt wpisujący się w górniczą historię Gorc sięgającą XVIII wieku.

Na dzień dzisiejszy działa tu Izba Pamięci Górnictwa i Kopalnictwa, w której znajdują się eksponaty podarowane przez mieszkańców pracujących kiedyś w miejscowych kopalniach. Wielką atrakcją jest wieża szybu wyciągowego wykorzystywana jako punkt widokowy z platformą usytuowaną na wysokości 34 metrów. Oczywiście są też tutaj pomieszczenia centrum kulturalno-kongresowego, w których można organizować całkiem spore spotkania. Na co dzień zarządzający



obiektem organizują zajęcia edukacyjne, koncerty, wernisaże i wiele mniejszych imprez, na które zgłaszają zapotrzebowanie miejscowe szkoły czy organizacje.

Stara Kopalnia Centrum Nauki i Sztuki to miejsce szczególne na mapie Wałbrzycha. Po zamknięciu i likwidacji kopalń długo zastanawiano się jak zagospodarować choćby część z obiektów służących przez wieki wydobywaniu węgla. W końcu zdecydowano, że na terenie dawnej Kopalni Węgla Kamiennego „Julia” (Thorez) utworzona zostanie naj-



większa w Polsce atrakcja turystyki poprzemysłowej. Dzięki zatrudnieniu w roli przewodników dawnych górników turyści podczas wycieczek mogą nie tylko zdobyć rzetelną wiedzę na temat pracy w kopalni, ale także poznać wiele wydarzeń, jakie miały tu miejsce, a nigdy nie były upubliczniane.

W Centrum działa Muzeum Przemysłu i Techniki, Galeria Sztuki Współczesnej, Centrum Ceramiki Unikatowej, pokoje gościnne i kawiarnia. Oczywiście są tu organizowane wycieczki zarówno w trakcie dnia jak i w nocy. Te drugie cieszą się coraz większym powodzeniem.

Warto choćby raz wziąć udział w Festiwalu Tradycji Górniczych, podczas którego możemy zarówno poznać zwyczaje kultywowane w górnictwie jak i samemu przeżyć udzielający się wówczas świąteczny nastrój, jakiego do tej pory nie zazналиśmy.

Dawna Kopalnia Nowa Ruda to obiekt, w którym prezentowana jest historia górnictwa w tej miejscowości. Można tutaj zobaczyć wiele urządzeń i maszyn górniczych ułatwiających ciężką pracę górników. Wiele z nich, mimo że nie wykorzystuje się ich na co dzień, jest sprawnych. Można także spotkać pojawiającego się znikąd górnika, który umaże nam twarz węglem. Wtedy nie będzie wiadomo czy szybko to zmyć, czy pozostawić chociaż na jakiś czas jako miłą pamiątkę z podziemnego spotkania.

W kopalni możemy zapoznać się z historią wydobywania węgla, ale też zobaczyć jak wyglądało zarządzanie wydobywaniem urobku z fotela dyspozytora obiektu. I, jak się okaże, odwiedzenie zakładowej dyspozytorni całkowicie zmieni nasz osąd o pracy osób organizujących wydobywanie węgla i dbających o bezpieczeństwo pracujących pod ziemią górników.

Kopalnia Złota w Złotym Stoku nie trzeba chyba nikomu przedstawiać. Jest to obiekt tak rozpoznawalny, że wydawałoby się, iż może istnieć bez reklamy. Niestety, w dzisiejszych czasach wcale tak nie jest. Przez ograniczenia nałożone na takie miejsca, również to miejsce przeżywa kłopoty finansowe. Bo to, że jest to duży obiekt, oznacza przecież, że koszty jego funkcjonowania także są duże. Pracuje tu kilkadziesiąt osób. Turyści na co dzień widzą tylko przewodników oprowadzających ich po podziemiach, a przecież są jeszcze pracownicy obsługi. Funkcjonują tu bowiem różne sklepiki, parking, restauracja.



Na dzień dzisiejszy ważną informacją dla odwiedzających kopalnię jest ta, że oprócz dotychczasowych atrakcji pojawiły się nowe. Można natknąć się na poszukującą swojego zaginionego męża Gertrudę. Jest to co prawda hologram, ale tak realistyczny, że można dostać zawału.

Kopalnia Złota w Złotym Stoku to wspaniałe miejsce na wypoczynek. W zasadzie nie ma takiej możliwości, by ktoś stąd wyjechał zawiedziony.

Kopalnia Uranu w Kletnie – Podziemna Trasa Turystyczna to miejsce, w którym poznamy 600-letnią historię górnictwa w tym rejonie. Początkowo wydobywano tu rudy żelaza, miedzi oraz w czasach nam bliższych rudy ołowiu. Wydobywanie rud uranu, czyli to z czym na ogół



kojarzymy Kletno, rozpoczęło się w czasach „zimnej wojny” i prowadzone było ze względu na warunki polityczne bez oglądania się na bezpieczeństwo załogi. Złóże wyeksploatowano w roku 1958 i od tej pory kopalnia nie działała.

Obecnie prowadzona jest tu działalność turystyczna, dzięki czemu chętni mogą poznać wiele tajemnic zachowanych wyrobisk oraz dowiedzieć się o geologii tego miejsca. Dużym zainteresowaniem, nie wiedzieć dlaczego, cieszy się nocne zwiedzanie kopalni.

Kopalnia Niklu, Chryzoprazu i Opalu w Szklarach to obiekt zupełnie inny od znanych tego typu miejsc. Przede wszystkim zachowane kilometry podziemnych korytarzy nie przytłaczają swoim widokiem turystów. Czują się oni tu w miarę swobodnie. Nie przeszkadza im nawet kapiąca wciąż woda. Najważniejsza jest tutaj możliwość zobaczenia tak wielu różnorodnych minerałów widocznych w ścianach korytarzy, że mamy problem z ich identyfikacją.

Sama kopalnia swoją świetność przeżywała za króla Prus – Fryderyka II Wielkiego. Ta jego fascynacja zielonym złotem, jak nazywano wówczas chryzopraz, spowodowała, że Szklary znane były w całym świecie, a wyroby z pozyskiwanych tu kamieni znalazły się na praktycznie wszystkich dworach Europy i nie tylko. Niestety, ze względów biznesowych ważniejsze okazały się rudy niklu i ta produkcja stała się podstawowym zadaniem zakładów.

Obecnie funkcjonuje tutaj Podziemna Trasa Edukacyjna, która ze względu na wyjątkowe walory geologiczno-przyrodnicze otrzymała status „Stanowiska Dokumentacyjnego”.

Mam nadzieję, że te krótkie prezentacje miejsc odwiedzonych podczas pierwszej podróży partnerskiej zachęcą do ich zwiedzania, a dzięki temu staną się przyczynkiem do zdobywania odznaki krajoznawczej „Sudecki Gwarek Waloński”.

Krzysztof Tęcza

Friedrich Iwan – malarz, grafik, pejzażysta

Pod takim tytułem otworzono w piątkowe popołudnie wystawę w pałacu w Bukowcu. Organizatorami byli: Związek Gmin Karkonoskich, Instytut Pamięci Regionalnej w Meziměstí oraz Międzynarodowy Fundusz Wyszehradzki w Bratysławie.

Przybyłych do Bukowca gości w imieniu dyrektora ZGK, pana Łukasza Hady, przywitała Izabela Uroda oraz Krzysztof Sawicki. O założeniach przedstawionych prac opowiedział główny organizator Peter Bergmann. Przede wszystkim uświadomił wszystkim, że obecna wystawa w Bukowcu jest największą po zorganizowanych w muzeum w Kamiennej Górze, w Centrum Kultury w Krzeszowie i Ośrodku Kultury w Kowarach. Niestety, mimo że wystawa miała być znacznie większa, bo miała zawierać wiele prac będących w posiadaniu kolekcjonera z Niemiec pana Markusa Kawaletza, ze względu na utrudnienia związane z panującą epidemią taka nie jest. Ponad połowa z planowanych do pokazania prac nie dotarła do Bukowca.

Sporo z przedstawionych prac było już pokazywanych w Polsce, ale jest też dużo nowych, które prezentowane są po raz pierwszy. Część eksponatów pochodzi ze zbiorów znanego nam Mirosława Góreckiego z Kowar. Wśród wystawionych prac prezentowana jest także praca znajdująca się w zbiorach rodziny Lenki, Miloslava i Pavela Klimeš – wydawców Veseleho Vyletu (Wesołej Wyprawy), którzy zamieścili artykuł o Iwanie w publikacji *Lato 2019*. Jest to praca przedstawiająca kaplicę w Pecu pod Śnieżką w roku 1908. Uważa się, że jest to najstarsze datowane dzieło Fridricha Iwana.



Na uwagę zasługuje także portret Klause Iwana, syna naszego mistrza. Jest to praca do tej pory niepokazywana szerszej publiczności. Również po raz pierwszy pokazane zostały listy Fridricha Iwana. Do tej pory jakoś nie było okazji do ich prezentacji. Przede wszystkim są to jego listy do syna. Oprócz samych prac ciekawostką tej wystawy jest zbiór narzędzi, jakich w swojej pracy używał Fridrich Iwan. Może dzisiaj, w dobie komputera, wydadzą się one archaiczne, ale w czasach, kiedy on tworzył, były to normalne narzędzia pracy.

Ponieważ większość z nas może nie kojarzyć prac Fridricha Iwana pokrótce przypomnę jego działalność.

Fridrich Iwan urodził się w 1889 roku w Kamiennej Górze. Po ukończeniu gimnazjum rozpoczął studia w Królewskiej Szkole Sztuki i Rzemiosła Artystycznego we Wrocławiu (późniejszej Akademii Sztuk Pięknych). Jego mistrzem w tamtym okresie był znakomity pejzażyzysta prof. Carl Ernst Morgenstern z Monachium.

Kolejnym etapem jego edukacji były studia w Berline-Charlottenburgu, gdzie studiował malarstwo u profesorów Schlabitza i Hansa Mayera. Niestety, po wybuchu I wojny światowej musiał przerwać swoją edukację, gdyż powołano go do wojska. W roku 1918, po kontuzji, dotarł do Berlina, gdzie poznał przyszłą żonę, Hedwig Weidler. Dwa lata później osiedlił się w Karpaczu, gdzie mieszkał w wynajętej willi o nazwie „Flora”. Tam też przyszedł na świat jego syn Klaus.

Dzięki utrwalaniu piękna gór poznawanego podczas licznych wędrówek został na tyle znanym artystą, że jego dzieła dobrze sprzedawały się w schroniskach karkonoskich. Nic więc dziwnego, iż w bardzo krótkim czasie stać go było na zakup własnego domu. W nabytej posiadłości położonej w Kunicach koło Jeleniej Góry urządził pracownię, w której, działając nieprzerwanie do 1946 roku, stworzył większość swoich prac.

W roku 1922 przystąpił do Kolonii Artystycznej – Młyn św. Łukasza w Szklarskiej Porębie. Niestety, po zakończeniu działań wojennych, wskutek fałszywego donosu został aresztowany, a gdy wreszcie wyszedł na wolność okazało się, że jego dom zajęli już polscy osadnicy. Na szczęście przygarnęli go mieszkający po sąsiedzku Adamkowie. W roku 1946 został wysiedlony do Niemiec. Ostatecznie zamieszkał w alpejskim regionie Allgäu w miejscowości Wangen, gdzie zmarł w 1967 roku.



Wystawa otwarta w Bukowcu 3 lipca 2020 roku będzie prezentowana do 15 września tego roku. Serdecznie na nią zapraszamy.

Krzysztof Tęcza

4 stopień zagrożenia lawinowego

W Polsce obowiązuje pięciostopniowa skala zagrożenia lawinowego według EAWS (European Avalanche Warning Services). Stopnie zagrożenia określono w rozporządzeniu Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 22 grudnia 2011. Zgodnie z tym aktem prawnym 4 stopień zagrożenia lawinowego występuje, gdy pokrywa śnieżna jest słabo związana na większości stromych stoków, na których wyzwolenie lawiny jest prawdopodobne już przy małym obciążeniu dodatkowym. Możliwe jest również samostne schodzenie dużych i bardzo dużych lawin śnieżnych.

W naszym kraju 4 stopień zagrożenia lawinowego dotyczy praktycznie tylko Tatr. W Karkonoszach ogłaszano go dla czeskiej części tych gór: w styczniu 2002, w lutym 2006, w lutym 2009, w lutym 2012. Ostatnio 4 stopień zagrożenia lawinowego obowiązywał w czeskiej części Karkonoszy w styczniu 2019 roku. W tym czasie po polskiej stronie GOPR ogłosił 3 stopień. Zimą 2018/2019 udało mi się odwiedzić Karkonosze i przeprowadzić badania terenowe, aby udokumentować panującą tam sytuację.

Fotografie zaprezentowałem na wystawie „4 stopień zagrożenia lawinowego”, która jest kontynuacją moich ekspozycji „Sudety zimą” i „Najniebezpieczniejsze miejsca w Karkonoszach” z lat 2017 i 2019. Na wystawie zobaczyć można miej-

sca zagrożone występowaniem lawin śnieżnych znajdujące się zarówno po polskiej jak i po czeskiej stronie Karkonoszy: Obří důl, Dlouhý důl, Biały Jar, Kocioł Małego Stawu, Labský důl, Śnieżne Kotły, Důl Bílého Labe, Modrý důl, Kocioł Łomniczki, Szrenicki Kocioł, Kocioł Wielkiego Stawu. Warto przypomnieć, że w Karkonoszach w latach 1655-2019 odnotowano 97 lawin, w tym 76 śnieżnych zdarzeń lawinowych, w wyniku których zabici i poszkodowani zostali ludzie oraz zwierzęta – psy i bydło. Łączna liczba zabitych wyniosła 100, zaś poszkodowanych – 166.

Osoby zainteresowane tematyką lawinową zapraszam na wystawę pt. „4 stopień zagrożenia lawinowego”. Można ją oglądać za darmo w „Gościńcu na Starówce” w Kowarach przy ul. 1 Maja 23 z zachowaniem wymogów sanitarnych związanych z pandemią COVID-19 (maseczka na twarzy i dezynfekcja rąk). Jest czynna codziennie w godzinach 12-18 w okresie od 1 lipca do 30 sierpnia 2020 roku.

Zbigniew N. Piepiora

Fot. Zbigniew N. Piepiora



Fot. Zbigniew N. Piepiora



Józef Kopeć

Urodził się 15 maja 1758 r. (niektóre źródła podają też rok 1762) w powiecie pińskim (obecnie Białoruś) w rodzinie szlacheckiej. Ojciec uczył go w domu. Józef w wieku 16 lat wstąpił do wojska. Od 1778 r. służył w II brygadzie kawalerii narodowej wojsk Wielkiego Księstwa Litewskiego, począwszy od szeregowca. Będąc porucznikiem, dowodził szwadronem kawalerii podczas wojny polsko-rosyjskiej w 1792 r. Po rozjemie brygadę przeniesiono w okolice Kijowa, gdzie wcielono ją do wojska rosyjskiego Katarzyny II. Młody dowódca w randze majora przystąpił do spisku przygotowującego powstanie. Gdy w marcu 1794 r. rozpoczęła się insurekcja Tadeusza Kościuszki, II brygada litewska Kopia wraz z innymi pododdziałami przedarła się przez tereny, gdzie stacjonowały wojska rosyjskie, do Polski. Kopeć, awansowany przez Kościuszkę na wicebrygadiera, stanął na czele oddziałów walczących pod Dubienką, Gołkowem, w obronie Warszawy. Za odwagę otrzymał od Kościuszki złoty pierścień z napisem: „Ojczyzna obrońcy swemu”. Ranny w bitwie pod Maciejowicami (10 października 1794 r.) dostał się do niewoli. Wraz z innymi oficerami uwięziono Kopia w Kijowie. W kibitce przewieziono go do Smoleńska, gdzie osadzono w klasztorze. Po kilku miesiącach śledztwa ukazem carycy z 20 czerwca 1795 r. skazany został za dezercję na zesłanie na Kamczatkę.

Jechał kibitką przez Kazań, Perm, Jekaterinburg, Tobolsk, Irkuck do Ochocka. Statkiem przepłynął po Morzu Ochockim, Oceanie Spokojnym do Ust'-Kamczatska na wschodnim wybrzeżu półwyspu Kamczatki. Miejscowe władze rosyjskie pamiętały wyczyn Maurycego Beniowskiego, który 24 lata wcześniej uciekł z więźniami z Kamczatki statkiem, dlatego Kopia strzegły ze szczególną pilnością. Ale mimo to prowadził on obserwacje etnograficzne, interesował się życiem i obyczajami miejscowych ludzi, opisywał przyrodę, zbierał okazy przyrodnicze i przedmioty kultury materialnej. Spisywał opowieści świadków brawurowej ucieczki Beniowskiego.

Nowy car Paweł I swoim ukazem zwolnił Kopia z zesłania (1796), ale z zakazem przebywania w dużych miastach. Były zesłaniec po 2 latach pobytu na Dalekim Wschodzie wrócił do Wilna, lecz po 3 miesiącach został wydalony z miasta. Wyjechał więc i zamieszkał w Puławach u Czartoryskich, następnie w Nieświeżu u Radziwiłłów i wreszcie w Porycku na Wołyniu u Tadeusza Czackiego. Chorował po odniesionych ranach i przebytych trudach zesłania i podróży. Udało mu się odzyskać prawa do majątku Luszniewo (nieдалeko Braślawia, dziś na Białorusi), który był własnością rodziny Kopiców od początku XVIII w. Osiadłszy tam, ożenił się z Anielą Szmyderówną. Urodziła mu syna, który też został Józefem. Gospodarując na roli, pisał pamiętniki i artykuły do gazet, uczestniczył w życiu publicznym. W 1812 r. wstąpił do loży masońskiej *Gorliwy Litwin*. Aleksander I, car Rosji i król Polski, nadał mu stopień generała kawalerii (1817). W 1821 r. w warszawskiej *Gazecie Literackiej* opublikował artykuł *Obyczaje kamczackie*, przedrukowany w rosyjskim tłumaczeniu przez petersburski *Sibirskij wiestnik*.

Józef Kopeć zmarł w Luszniewie w 1833 r. (wg niektórych źródeł w 1827) i został pochowany w kaplicy rodzinnej.

We Wrocławiu w 1837 r. wydano wspomnienia Kopia pod przydługim tytułem: *Dziennik podróży Józefa Kopia przez całą wzdłuż Azję lądem do portu Ochocka, oceanem przez Wyspy Kurylskie do Niżnej Kamczatki, a stamtąd na powrót do tegoż portu na psach i jeleniach*. Była to pierwsza, tzw. mała wersja



Dziennika. Autor opisał Ajnów, Buriatów, Czukczów, Jakutów, Kamczadali, Koriaków i Tunguzów. Dziennik zawierał pierwszy polski opis Kamczatki, a w nim opis trzęsień ziemi i wybuchów wulkanów. O mieszkańcach Kamczatki autor pisał: *Kamczadal jest dobry z natury, pogodny, łagodny, uprzejmy i bez granic gościnnie*. Zdarzenia i przygody Kopcia na zesłaniu stały się przedmiotem zainteresowania wielu poetów i pisarzy, m.in. Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Władysława Reymonta, Antoniego Goreckiego i Lucjana Siemieńskiego, którzy wykorzystywali je w swojej poezji bądź prozie. *Dziennik* był wielokrotnie wznawiany i tłumaczony na języki obce, przede wszystkim na rosyjski i francuski. Duża wersja *Dziennika*, opatrzona mapami, wyszła w Berlinie w 1863 r. Rękopis tej wersji jest przechowywany w Bibliotece Czarotorskich w Krakowie. Recenzujący dużą wersję *Dziennika* Kazimierz Wóycicki tak pisał o autorze: *Znaliśmy go osobiście i z bliska po powrocie z Kamczatki. Postać drobna i nikła, ciało wątłe było siedliskiem wielkiej duszy, pełnej bohaterstwa i poświęcenia*.



W Ochocku, rys. Józef Kopeć

Białorusini odremontowali nagrobek generała Kopcia. Uważają go za swojego bohatera narodowego. Wydali *Dziennik* po białorusku. W 1994 r. na 200-lecie powstania Kościuszki historyk Bolesław Szostakowicz (polskiego pochodzenia) opublikował w Irkucku część *Dziennika* Kopcia, odnoszącą się do pobytu autora w tym mieście. *Dziennik* Kopcia jeszcze raz wyszedł drukiem we Wrocławiu w 1995 r. (408 stron) dzięki Antoniemu Kuczyńskiemu i Zbigniewowi Wójcikowi.

Janusz Fuksa

Obrońca przyrody i krajobrazu

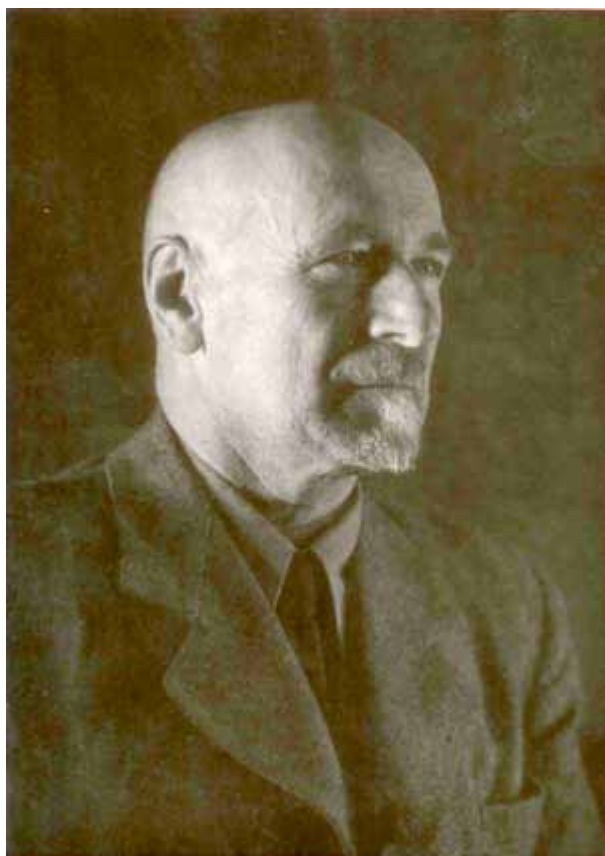
Strażnik wielkopolskich skarbów

Jego życiowa wędrówka miała długą trasę. Z podkarpackiej Słotwiny koło Brzeska, szkoły w Sanoku, Jaśle i Tarnowie do wielkopolskiego Poznania przez kujawsko-pomorską Bydgoszcz i małopolski Kraków, gdzie był nauczycielem, czyli z rodziny kolejarza do godności profesora i dziekana Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Uniwersytetu Adama Mickiewicza. **Adam Wodziczko** (1887-1948) został jednym ze współczesnych pionierów ochrony polskiej przyrody. Dorobek naukowy gromadził najpierw jako wojskowy mikrobiolog w czasie pierwszej wojny światowej.

W istocie był wybitnym botanikiem. W ciągu kilkudziesięciu lat pracy naukowej zgłębiał tajemnice wielu gatunków roślin. Do języka nauk przyrodniczych wprowadził pojęcia fizjotaktyka i uprawa krajobrazu. Zasłużył się w tworzeniu kilku parków narodowych. A od 1924 r. do śmierci był dyrektorem poznańskiego Szkolnego Ogrodu Botanicznego. Wodziczko odkrył ciekawą roślinność kserotermiczną (ciepłolubną) ozów nad Jeziorem Budzyńskim. I to był początek jego pasji chronienia osobliwości godnych zachowania w naszym środowisku.

W 1916 r. doktoryzował się, mając za promotora innego wybitnego polskiego botanika – Mariana Raciborskiego, który sprawił, że Wodziczko znalazł się wśród wybitnych badaczy i obrońców polskiej przyrody. Poznańska uczelnia ma tradycje sięgające XVI w. Od 1919 r. jako Uniwersytet Poznański był czwartą polską uczelnią tej rangi, przejściowo nazwany był Wszechnicą Piastowską. Imię Adama Mickiewicza nosi od 1955 r., wydział, z którym Wodziczko był związany wiele lat, należy do najbardziej zasłużonych dla polskich nauk przyrodniczych. Jako badacz osiągnął wielki i ważny dorobek naukowy. Jego zamiłowanie do osobliwości przyrody zaczęło się od znalezienia roślin ciepłolubnych nad Jeziorem Budzyńskim – obecnie w Wielkopolskim Parku Narodowym. W jego utworzeniu w 1957 r. miał znaczący udział.

W 1936 r. uzyskał tytuł profesora zwyczajnego anatomii i fizjologii roślin. Dwa lata później stworzył Międzywydziałowe Seminarium Biocenotyki i Ochrony Przyrody. Tym czynem zaczął iść przez wiele lat



**Adam Wodniczko – fot. ze zbiorów
Archiwum PAN Oddział w Poznaniu**

drogą badacza i wybitnego obrońcy przyrody. Ten kierunek jego poczynań naukowych datuje się od 1919 r., gdy w uznaniu dorobku naukowego został członkiem Państwowej Rady Ochrony Przyrody i ściśle współpracował z jej przewodniczącym – Władysławem Szaferem. Kolejne lata od 1930 r. w jego dorobku zaznaczyły się udziałem w tworzeniu rezerwatów przyrody i naszych parków narodowych, przede wszystkim niejako „macierzystego” Wielkopolskiego PN (1957). Jego starania o powstanie tego parku sięgają 1922 r. Miał znaczący udział w powstaniu pierwszego w Polsce i Europie pogranicznego Pienińskiego PN (1932).

W czasie okupacji pracował jawnie i tajnie w Krakowie jako nauczyciel. Po wojnie nadrabiał lata stracone dla nauki. Już w połowie marca 1945 r. powrócił do Poznania. Zajął się odnawianiem zniszczeń w uczelni oraz przywróceniem znaczenia i funkcji naukowych Ogrodu Botanicznego Uniwersytetu Poznańskiego. Doprowadził do utworzenia pierwszego samodzielnego w polskich uczelniach wyższych Zakładu Ochrony Przyrody i Uprawy Krajobrazu oraz prowadził Seminarium Biocenotyki i Ochrony Przyrody. Po II wojnie światowej prowadził rozległe badania naukowe na nowo włączonych do Polski Ziemiach Zachodnich i Północnych. Jako znany przyrodnik wytypował tereny w pasie nadmorskim, które stały się w przyszłości parkami narodowymi – Wolińskim PN (1960) oraz Słowińskim PN (1967).

Jako znawca ochrony przyrody wcześniej podjął się nowoczesnej interpretacji tego zagadnienia. W artykule pt. *Ochrona przyrody nową gałęzią wiedzy* („Ochrona Przyrody” – rocznik XII, 1932) wprowadził nowe pojęcie – fi-

zjotaktyka rozumiane jako stosunek człowieka do przyrody. Dla utworzonej jednocześnie w ten sposób nowej gałęzi nauki stworzył odpowiednie klasyfikacje i terminologię. Wyróżniał w niej takie działy jak: nauka o równowadze w przyrodzie, nauka o harmonijnym kształtowaniu przyrody i krajobrazu, praktyczna ochrona przyrody, nauka o wpływie wolnej przyrody na człowieka, pedagogika fizjotaktyczna. Według niego fizjotaktyka powinna być samodzielną pozycją wśród innych dyscyplin nauki i należy ją wprowadzić jako oddzielny przedmiot nauczania. Profesor Wodniczko wyrażał pogląd, że od ochrony przyrody zależy także świadome kształtowanie krajobrazu.

Jako pierwszy przyrodnik w kraju zwrócił uwagę na gospodarcze znaczenie ochrony przyrody. Był przekonany, że przyroda zawsze będzie źródłem wyżywienia ludzi pod warunkiem, że nie naruszymy panującej w niej równowagi. Profesor Wodniczko twierdził, że nie wystarczy ochrona poszczególnych gatunków organizmów żywych, lecz trzeba chronić krajobraz jako całość. Prace człowieka wokół krajobrazu nazwał „uprawą krajobrazu”, rozumiejąc przez to ochronę, pielęgnowanie i jego kształtowanie. Głównym zadaniem w tej mierze jest utrzymywanie sieci wodnej. Swoje poglądy w zakresie ochrony przyrody wyłożył w pracy *Na straży przyrody*, która miała cztery wydania (1946, 1948, 1967, 1968).

Zabiegał o wprowadzenie ochrony przyrody do programu nauczania wszystkich szkół – niezależnie od ich typów i stopnia organizacji. Uważał, że jest to zadanie przede wszystkim dla szkół technicznych i o charakterze gospodarczym, bo ich absolwenci zdecydują w przyszłości o całokształcie przyrody. Wyrażał pogląd, że ochrony przyrody należy uczyć się od najmłodszych lat – od przedszkola po studia wyższe. Wraz z profesorem Stanisławem Tołpą w 1936 r. opracował program nauczania biologii, wprowadzając już wówczas do nauczania nowe działy, jak naukę o zespołach roślinnych i ochronę krajobrazu.

Prowadził bogatą działalność redakcyjno-wydawniczą. Był współzałożycielem i redaktorem pierwszego w Polsce periodyku poświęconego sprawom ochrony przyrody – „Wydawnictwo Okręgowego Komitetu Ochrony Przyrody na Wielkopolskę i Pomorze”, który wydawał w latach 1930–1938. W ciągu życia ogłosił ponad 250 prac naukowych oraz o charakterze popularnym. Połowę ich zawartości stanowiły treści związane z ochroną przyrody. Był też członkiem kilku komitetów redakcyjnych.

Profesor Adam Wodniczko położył podwaliny pod pionierskie badania na tematy florystyczne i fizjografii roślin obszarów Wielkopolski i Pomorza. Od pierwszych lat działalności naukowej prowadził systematyczne badania z dziedziny anatomii i fizjologii roślin. Kierował również badaniami analizy pyłkowych osadów torfowych z terenu Wielkopolski i Pomorza. Dał się poznać jako człowiek wrażliwy na sprawy związane z ochroną przyrody, ale także na wszelkie zło społeczne. Zagadnienia omawiane przez Profesora w licznych

artykułach jego autorstwa świadczą o wielkiej wrażliwości społecznej i propagowaniu życia według zasad moralnych.

Był członkiem wielu towarzystw i instytucji naukowych – m.in. Polskiego Towarzystwa Botanicznego, Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Polskiego Towarzystwa Przyrodników im. Kopernika, Międzynarodowej Komisji Nomenklaturowej z siedzibą w Bazylei. Pełnił od 1925 r. zaszczytną funkcję wiceprezesa i prezesa Pomorskiego Oddziału Ligi Ochrony Przyrody, a od 1922 r. był członkiem Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Jego nazwisko zostało po śmierci uwiecznione w łacińskiej nazwie grzyba – *Protomyces wodziczkoii*. Zmarł w Poznaniu i tam został pochowany na Cmentarzu Jeżyckim.

Tomasz Kowalik



Pieniny, Pieniny precudna kraina

Od kilku lat staram się podpowiedzieć czytelnikom, co znajdą w kolejnym tomie „Prac Pienińskich”. Jest to zachęta ryzykowna, bowiem nakład 300 egz. od kilkunastu lat znacznie ogranicza zasięg czytelniczy tego rocznika. Tymczasem – szczęście w nieszczęściu – kolejny 29. tom jest już w obiegu. I znowu ma ten sam skromny nakład...

Tym razem powstrzymam się od szczegółowego przedstawienia jego zawartości. Wybiorę to, co – moim zdaniem – jest najbardziej atrakcyjne pod względem zawartych w tekstach informacji krajoznawczych. Już tylko krok, bo rok będziemy czekać na jubileuszowy, 30. tom tego czasopisma, może w większym nakładzie. A tymczasem – czyli jak zwykle raz do roku wiosną, ukazał się 29 tom „Prac Pienińskich”. Jest to kolejne ważne wydarzenie zapisane w bibliografii literatury krajoznawczej i turystycznej poświęcony Pieninom i Spiszowi.

Tyz piyknie... czas biegnie swoim zwyczajnym tempem, a wydawcy – osoby, instytucje i organizacje, co godne podziwu – ciągle te same. I – dodajmy – przewyciężają te same trudności, pokonują przysłowiowe kłody, nie tylko pod nogami. A jest ich sporo, przede wszystkim prześwitujące stale dno tzw. kasy, dzięki której – mimo wszystko – coraz bardziej szacowny rocznik dociera do miłośników i ciekawskich czytelników.

Nie mam wątpliwości, że w znowu w 2021 r. wezmę do ręki 30. tom tego czasopisma, które ukaże się na przekór ignorantom i malkontentom z węzłem w kieszeniach i na kontach bankowych. Więc popatrzmy, co dostaliśmy od Autorów i Wydawców wiosną 2020 r. Tom ma 388 stron i bogaty jest w ilustracje, także... kolorowe. Niestety, tak się dzieje od 1998 r. w nakładzie zaledwie 300 egzemplarzy. Otwiera go tekst **Aleksandry Dudek** o wielce atrakcyjnej klasyfikacji treści ludowych pieśni z okolic Pienin. Niech za wyjaśnienie jego istoty posłużą teksty takich bardzo, ale to bardzo... dwuznacznych tekstów. Ich walory metaforyczne o pięknie zawołowanej treści erotycznej, czy seksualnej są arcyciekawe. Dla przykładu: „*Nazbierałaf jagód dzban / pódże Jasiu to ci dom...*”

Na kolejnych stronach jest tekst **Agnieszki Nikel**, w którym autorka wyjaśnia wiele tajników i sposobów rozmnażania się roślin. Dalej mamy tekst przyrodniczy – znany botanik – **Ludwik Frey** opisuje pożytki z ziół leczniczych, pienińskich roślin o „krwawych nazwach”, a najbardziej znane to krwawnik i dereń świda. O dawnym transporcie górską rzeką mówi treść hasła: *jak się flisowało* – jego istotę poznajemy dzięki rzetelnemu opisowi trudnego zawodu i spławu drewna Dunajcem z opowieści naocznego świadka **Jana Kacwina** z Krościenka nad Dunajcem, strażnika wodnego, flisaka, inspektora pilnującego tej zanikłej roboty. Informację o niej zapisał **Jan Tyszkiewicz**.

Temat gospodarczy i zarazem przyrodniczy o charakterystycznej kiedyś dla pienińskich wsi Sromowce Niżne i Wyżne, ostatnio niemal całkiem zanikającej hodowli gęsi domowych – niejako obok zawodu rolnika, drwala i flisaka – poznajemy z tekstu **Krzysztofa Miraja**. Niejako tradycyjnie w „Pracach Pienińskich” jest tematyka militarna. Tym razem **Jerzy M. Roszkowski** opisuje działania wojskowe i starania o ustanowienie nowych granic Polski w latach 1918-1919 na Spiszu, m.in. sławnej Kompanii Wysokogórskiej.

Tematykę sakralną wspierają teksty **Andrzeja Skorupy** szczegółowo opisujące kościoły w Maciaszowcach na Zamagurzu Spiskim oraz w Wielkiej Frankowej. „Prace Pienińskie” podpowiadają, że ukazał się

opis kościoła w Jurgowie autorstwa **Andrzeja Skorupy i Rafała Monity** z cyklu *Zabytkowe kościoły Podtatrza*. Para autorów archeologów – **Zuzana Kasenčaková** z Prešova i **Maciej Wawrzczak** z Warszawy – opisują przebieg prac ostatnio prowadzonych na zamku w Starej Lubovni. Tematyka archeologiczna znajduje się na dalszych stronach tego tomu, jest to rozmowa redaktora naczelnego rocznika z badaczem starych zamków **Stanisławem Kołodziejskim**. Zakończenie działań konspiracyjnych w 1990 r. przez nadanie odznaczeń państwowych członkom Ugrupowania Niepodległościowego „Zamek” opisał redaktor naczelny „Prac Pienińskich”. Cenny przyczynek i dokumenty kupione przypadkowo pod Hałą Targową w Krakowie – o działalności u zarania Rzeczypospolitej w 1918 r. – opisał i pokazał **Bogdan Śmigieński**.

Rozważania sędziwego **Józefa Nyki** – zasłużonego autora literatury, historyka turystyki i taternictwa – prowadzą do obalenia mitu przelotu brata Cypriana z Czerwonego Klasztoru na słowacki Hawrań. Bardzo zaciekał mnie tekst **Ryszarda M. Remiszewskiego** o zapomnianym wapienniku i kamieniołomie pienińskim pod Durbaszką. Przypomina wypalanie wapna przez **Zbigniewa Przychodzkiego** sprzed 40 lat (!!!). Poznajemy zapomniany zabytek przemysłowy z Małych Pienin.

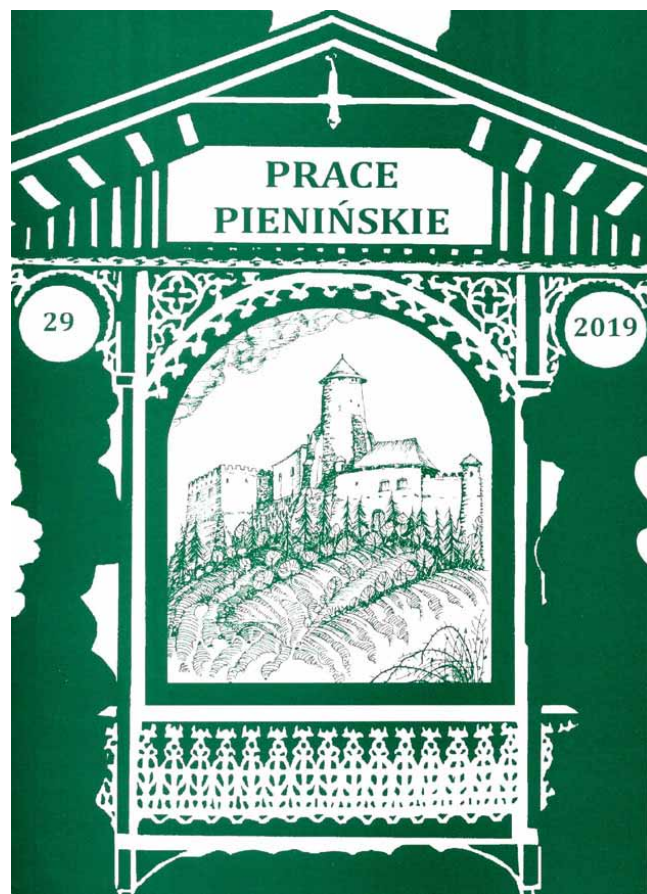
Do najcenniejszych informacji przyrodniczych należy tekst **Malgorzaty Wesołowskiej** (ilustrowany przez naczelnego redaktora) o czarnym bocianie rzadko spotykanym w Pieninach, żerującym w nurcie Dunajca. Do nie mniej ważnych tekstów zaliczam roczną *Kronikę flisacką 2019* z listą najważniejszych wydarzeń spisaną przez **Jerzego Regieca** – prezesa Polskiego Stowarzyszenia Flisaków Pienińskich. Ciekawostką z polskiego, ale dalekiego od wielkich scen życia muzycznego jest informacja o wystawieniu w Operze Śląskiej w Bytomiu opery Stanisława Moniuszki „Flis” i przypomnienie, że „Halkę” tego kompozytora wystawiono, początkując pracę tej sceny muzycznej w 1945 r.

Z wydarzeń muzycznych zaistniałych w osobliwych okolicznościach trzeba wymienić wystawienie w sierpniu 2019 r. w ruinach zamku Wronin opery kameralnej Karola Kurpińskiego *Zamek na Czorszynie, czyli Bojomir i Wanda*. Do kronik kulturalnych i zdarzeń krajoznawczo-turystycznych zaliczam odsłonięcie tablicy w 30. rocznicę śmierci Jerzego Kukuczki, wybitnego himalaisty. Wanta skalna z tablicą pamiątkową znajduje się na *Szlaku Odkrywców i Podróżników* w Szczawnicy. Uroczystość przygotowała młodzież ze Szkoły Podstawowej nr 1 im. Henryka Sienkiewicza i Oddział Pieniński PTTK.

Podobnie podniosła uroczystość odbyła się w Kasinie Wielkiej z okazji 100-lecia śmierci Apolinarego Dzewolskiego wywodzącego się z rodziny zasłużonej dla komunikacji – zasłynął jako budowniczy linii kolejowej z Suchoj Beskidzkiej do Nowego Sącza, czyli przybliżającej gości do Szczawnicy i Pienin. Jubileusz przypominał dawnego właściciela gorczańskiego Grywałdu. Teatralia w tym tomie wzbogaca opis wystawienia sztuki *Przeor z Czerwonego Klasztoru* przez amatorski teatr Miejskiego Ośrodka Kultury w Szczawnicy. Poza tym poznajemy z opisu **Władysławy Bodziarczyk** dzieje Biblioteki Gminnej w Krościenku nad Dunajcem, której początki sięgają 1903 r. i działalność Towarzystwa Szkoły Ludowej.

Osobliwym wydarzeniem było nadanie imion czterem mostkom nad Grajcarkiem na mocy uchwały Rady Miejskiej w Szczawnicy z 27 czerwca 2019 r. Nowe imiona to: *Most Zakochanych*, *Most Michała Słowika-Dzwona*, *Most Zbójników*, *Most Flisaków* – mosty spinają brzegi tego potoku od stacji Kolei Linowej na Palenicę ku Pieninom. Odnotujmy też, że odeszli „ku niebieskim polanom i szczytom” **Stanisław Urban** (1929-2019) Członek Honorowego PTTK, długoletni prezes Oddziału Pienińskiego PTTK, a także były senator, organizator firmy *Geotermia Podhalańska*, redaktor pisma *Hale i Dziedziny* – **Franciszek Bachleđa-Księdzularz** (1947-2019) i wspomniany wcześniej archeolog **Stanisław Kołodziejski** (1952-2019). Tom 29. zamyka wykaz 138 tytułów publikacji Ośrodka KTG i 11 kolorowych fotografii z różnych okazji.

Tomasz Kowalik



Skarby duchowe Dursztyna z rysem historycznym Spisza

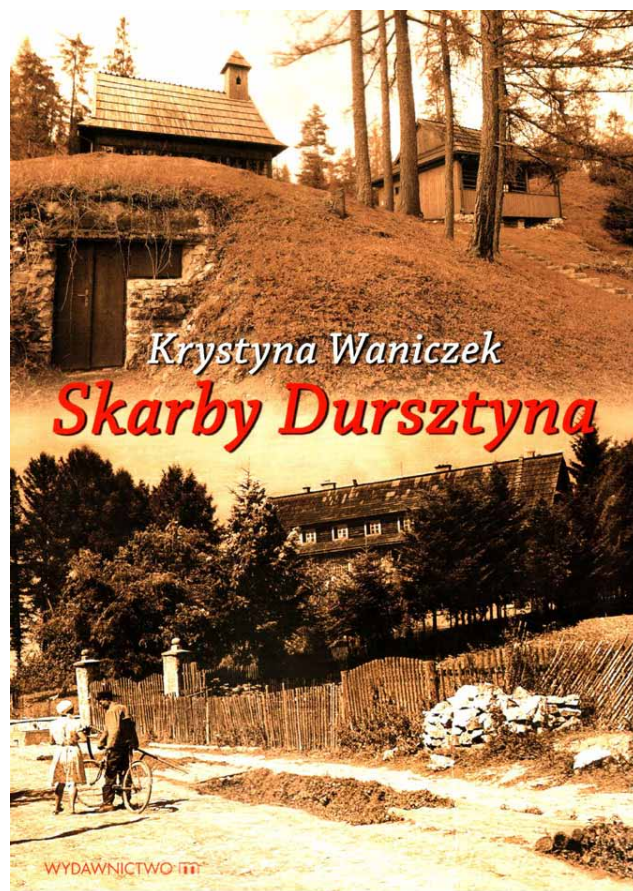
Książka autorstwa Krystyny Waniczek pod takim tytułem ukazała się w nowej serii Biblioteki Franciszkańskiej jako ósma z kolei. W podtytule dodano „Centra promieniowania duchowości”, co uzupełnia tytuł i przybliża zawartość. Przeglądanie książki (to jeszcze nie czytanie!) zaczynam od zapoznania się ze stroną redakcyjną i spisem treści, i tak też stało się tym razem, dlatego byłem przygotowany na pytanie, z którym się do mnie zwrócono. Właśnie pytającemu chodziło o szczegół w opisie redakcyjnym.

Ku mojemu zdziwieniu zostałem zapytany: dlaczego na stronie redakcyjnej jest *imprimi potest*, a nie *imprimatur*? Pozwoliłem sobie zaraz w pierwszym zdaniu recenzji zwrócić uwagę na serię wydawniczą, w której się ukazała, bo moja odpowiedź jest nawiązaniem do niej. Między jednym a drugim określeniem nie ma rozbieżności, bo dotyczą tego samego, ale jednak jest drobna różnica, która pozwala precyzyjnie umiejscowić książkę. *Imprimi potest* oznacza: można wydrukować, a *imprimatur*: niech zostanie wydrukowany. Każdy z państwa zapyta: gdzie ta różnica? Pierwsza jest oznajmieniem przełożonego zakonu (generała prowincji), druga ostatecznym zatwierdzeniem przez władze Kościoła katolickiego, zazwyczaj biskupa. Teraz już wiadomo, dlaczego w tej książce znalazło się *imprimi potest*, gdyż pozwolenie wydał Minister Prowincjalny Prowincji Matki Boskiej Anielskiej Zakonu Braci Mniejszych w Krakowie. W prawodawstwie franciszkańskim prowincjał nazywany jest ministrem prowincjalnym.

Książka składa się z czterech głównych rozdziałów uzupełnionych rysem historycznym Spisza i Zamarza Spiskiego, samego Dursztyna oraz dokumentacyjnym aneksem, zupełnie zrozumiałym ze względu na jej charakter. Powstała z myślą, by przybliżyć walory duchowe miejscowości powierzchniowo i liczebnie niewielkiej. Podkreślam ten walor z tego względu, że pominięto w książce, a raczej celowo ograniczono opisy jej położenia z walorami widokowymi pretendującymi do wyjątkowych. Autorka, pisząc książkę, miała co innego na myśli, postanowiła uświadomić czytelnikowi, że to co najważniejsze często nie jest widoczne dla oczu. Dlatego najważniejsi dla niej są ludzie, którzy tutaj posiadli umiejętność jednoczenia się do tworzenia rzeczy dobrych. Wśród tej społeczności były jednostki na tyle się wyróżniające, że pozostało po nich niezatarte znamię. Dursztyn zawsze pozostawał na uboczu. Może ze względu na długie lata kiedy nie posiadał dobrej drogi dojazdowej? Nie wspomnę o zimie, kiedy zasypane śnieżne odcinały wieś od świata. To odgrózenie od cywilizacji prowadziło do symbiozy z naturą, ale też przyciągało ludzi z tego innego świata, niebanalnych, potrafiących swoim zachowaniem pobudzać innych do działania. Stąd zrodziła się kanwa duchowości w Dursztynie, której prekursorami byli o. Ireneusz Kmiecik OFM i Mieczysława Faryniak, bardziej znana jako Pani ze Skałki.

Pierwszy z głównych rozdziałów poświęcony jest klasztorowi we wsi, to franciszkanie byli dla mieszkańców duchowymi przewodnikami i nauczycielami, stąd odnotowana rola dursztyńskich duszpasterzy, począwszy od wspomnianego już o. Ireneusza Kmiecika. Interującym – przynajmniej dla mnie – jest opisana historia zakonników podczas słowackiej okupacji Spisza w czasie II wojny światowej.

Drugi z rozdziałów przybliży postać Pani ze Skałki, historię jej życia, w szczególności zamieszkanie w wiosce na końcu świata, jej romantyczność duszy i dużą wrażliwość serca oraz fascynację Tatrami. Piękne jest jej wspomnienie, gdy jeszcze podczas pracy w banku, sprawdzając konta klientów, słyszała szmer potoków górskich i z trudem przymuszała się do odpowiedzi na zadawane pytania. Jej zamieszkanie i mozolna



aklimatyzacja w Dursztynie z początku były pełne zgrzytów, a nadto przeżyła rozpacz po niespełnionej miłości. Z czasem została zaakceptowana przez mieszkańców. Na wszystko potrzeba czasu, tak stało się z jej drogą duchową, której się cała oddała. Okres II wojny światowej to kolejne przeżycia związane z ratowaniem rodziny żydowskiej. A po wojnie? – to trzeba przeczytać, bo życie w nowym ustroju nie napawało optymizmem i pełne było nowych trudności, podobnie wyglądała jej droga usiana bruzdami aż do chwili, gdy oddała, co miała Zgromadzeniu Niepokalanego Poczęcia NMP. Odtąd siostry niepokalanki zapisują się w historiografii miejscowości. Historia Pani ze Skałki jest poruszająca i uzasadnione jest poświęcenie jej tyle miejsca na łamach książki.

Kolejny pasjonujący rozdział w książce to historia „Wichrówki” na wzgórzu Honaj. Miejsce to oddziałuje na mieszkańców równie wyraziście jak to pod Skałką. Burzliwe dzieje willi od 1935 r. nadają się na drukowaną opowieść lub film fabularny. Istotnym fragmentem jej historii był okres II wojny światowej, gdy willa stała się przystankiem na trasie kurierskiej Warszawa – Budapeszt znanej pod kryptonimem „Karczma”. Historię tego miejsca od Bogusława Pajora i Józefa Dunin-Śmiałkowskiego zamyka od lat 70. minionego wieku ks. Franciszek Blachnicki, założyciel Ruchu Światło-Życie i świeckiego Instytutu Niepokalanej Matki Kościoła. W 2012 „Wichrówka” przemianowana została na pustelnię, czyli powróciła do swojego pierwotnego przeznaczenia.

Rozdział „Dom Dzieci” jest najkrótszym w książce, niewspółmiernie do historii tegoż miejsca. Budowa domu związana jest z życiem Wiesława Nalewajskiego, który postanowił pójść za głosem serca i zrobić to, o czym zamyślał. Sam wychowanek domu dziecka nie wahał się poprawić życia i egzystencji dzieci takich jak on, osieroconym i pozbawionym opieki postanowił ofiarować im prawdziwy, rodzinny dom. Zbudowanie go, a następnie sprowadzenie siostr ze Zgromadzenia Służebnic Matki Dobrego Pasterza do Dursztyna i powierzenie im prowadzenia placówki opiekuńczo-wychowawczej nad dziećmi jest zrealizowaniem tego marzenia, niejako podsumowaniem życia pełnego doświadczeń z wojny, okupacji, jak i powojennego dzieciństwa związanego z ciężkim przeżyciem. Dodam, że jego fundator z wykształcenia jest inżynierem, absolwentem Politechniki Poznańskiej, ba, nawet po doktoracie!

Gdy będziemy czytać dzieło Krystyny Waniczek, zdajmy sobie sprawę z tego, czym jest Dursztyn. To nie tylko powalający widok na Tatry, Pieniny, Gorce... to miejsce przesiąknięte duchowością tych niezwykłych ludzi.

Myślę, że i Autorka tej książki dopisuje się do ich niezwykłych życiorysów i sądzę, że historia tegoż miejsca nie jest wyczerpana, co sama zauważyła wspominając o Szkole Podstawowej im. Stanisława Staszica sięgającej jeszcze czasów austro-węgierskich, a mnie osobiście zabrakło w jej książce historiografii stajni jurgowskich, tyle że będzie to wymagało spojrzenia trochę za horyzont tego zakątka Polskiego Spisza, z Honaju ku Tatrom Bielskim.

Ramy recenzji mają swoje granice i zdarza się, że czasami żałuję, że takie są, ale proszę zrozumieć, nie można pisać drugiej książki, by na końcu nazwać ją recenzją. Non licet - Nie godzi się.

Ryszard M. Remiszewski

Waniczek K.: *Skarby Dursztyna : Centra promieniowania duchowości*, Biblioteka Franciszkańska, Kraków: Wydawnictwo M 2020, ISBN 978-83-8043-616-9

NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.
Magazyn odznaczony "Złotą Honorową Odznaką PTTK" w 2002 r. oraz Odznaką Honorową "Za Zasługi dla Turystyki" przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Piotr Dacko**
Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**
Korekta: **Zofia Wiatrak**
Webmaster: **Piotr Dacko**

Stale współpracują: Juliusz Wyslouch, Krzysztof Tęcza,
Tomasz Kowalik, Ryszard M. Remiszewski, Janusz Fuksa,
Bartosz Skowroński, Zbigniew Piepiora, Krzysztof Pik,
Jacek Mielcarek, Sebastian Jakobsch, Mirosław J. Barański



Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adyustacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931